ŻYCIE



ROCZNIK II. ZESZYT XXII.

DNIA 27. MAJA 1911 R.

Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor odpowiedz.: Dr. MARYAN KUKIEL.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA WE LWOWIE,
ULICA DĄBROWSKIEGO L. 2.

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ“ („KURJERA LWOWSKIEGO“) LWÓW CHORĄŻCZYZNA 31. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA“.



ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI

LUDWIK KULCZYCKI.

OBECNA SYTUACYA WYBORCZA W GALICYI.



Wybory zawsze ożywiają działalność stronnictw politycznych i budzą zainteresowanie szerszych kół społecznych, obecne jednak wybory w Galicyi posiadają szczególne znaczenie z kilku względów: — będą one walną bitwą pomiędzy demokracyą narodową i podolakami z jednej, a demokratami bezprzymiotnikowymi, ludowcami, konserwatystami krakowskimi i rządem krajowym, z drugiej strony; będą starciem się gwałtownem socyalistów z wrogiemi im stronnictwami, starciem ostrzejszem i donioślejszem w skutkach, niż w latach ubiegłych; będą też debiutem politycznym Polskiego Stronnictwa Postępowego, które występuje obecnie po raz pierwszy na szerszą arenę polityczną i nakoniec zbliżające się wybory będą walką o śmierć i życie pomiędzy stronnictwami ukraińskiemi a moskalofilskiemi.

Poza tymi ogólnymi antagonizmami polityczno-socyalnymi, które się ujawnią w zbliżających się wyborach, występują nader ciekawe i charakterystyczne momenty zachowania się poszczególnych osób i grup. Tak n. p. ciekawą jest akcya namiestnika Bobrzyńskiego, skierowana przeciwko posłom Kozłowskiemu i Starzyńskiemu, ciekawą jest walka, toczona przez posła Daszyńskiego w Krakowie z wrogami stronnictwa socyalistycznego. Duże zainteresowanie budzi przebieg agitacyi Mikołaja Hankiewicza w jego okręgu wyborczym. Ważne w skutkach jest porozumienie się socyalistów polskich i żydowskich. Charakterystycznemi też są bardzo starcia pomiędzy kandydatami ludowymi z obozu posła Stapińskiego, a kandydatami frondy ludowej...

Niepodobna tu wymienić wszystkich momentów w akcyi wyborczej, budzących większe zainteresowanie. Te, na które wyżej wskazałem, są już dość liczne i wykazują, że zbliżające się wybory będą nader ważne i interesujące.

W prasie polskiej i obcej szczególne zainteresowanie budzi blok demokratów bezprzymiotnikowych, ludowców i konserwatystów krakowskich skierowany przeciwko narodowej demokracyi, i cieszący się poparciem namiestnika dr. Bobrzyńskiego. Zarówno sam blok, jak i stosunek do niego rządu krajowego budzi liczne komentarze i namiętną dyskusyę. „Słowo Polskie“ woła na alarm, rycząc z wściekłości. Czytając to pismo, możnaby przypuścić, że obecnie w Galicyi wszystkie podstawy życia konstytucyjnego zostały obalone, że na naród nasz spadną jakieś straszne ciosy...

I cóż się stało takiego? Nic nadzwyczajnego. Oto wszystkie prawie stronnictwa poznały się wreszcie na narodowej demokracyi i postanowiły ją zwalczać, poznał się na niej namiestnik i także postanowił ją zwalczać. Wszystko to jednak nie narusza ani podstaw życia konstytucyjnego w kraju, ani też nie grozi narodowi polskiemu żadną katastrofą. Wszystko to zapowiada tylko upadek demagogii wszechpolskiej, upadek szulerki politycznej.

Ta niechęć, a nawet nienawiść rozmaitych stronnictw do narodowej demokracyi ma swoje głębokie przyczyny.

Istotnie: dotychczas nie było stronnictwa w Polsce, któreby w sposób tak cyniczny, jak wszechpolacy, przystosowywało swoją politykę do interesów kliki stojącej na jego czele; nie było stronnictwa, któreby z równą łatwością zmieniało swoje poglądy programowe i któreby z podobną lekkomyślnością i arogancyą rzucało się na wszystkich, chociażby najgodniejszych, których jedyną winą jest to, że nie należą do niego.

Aby nie posądzono mię o gołosłowność, przytoczę kilka przykładów.

Przed wstąpieniem do gabinetu p. Głąbińskiego, narodowa demokracya stała na tym stanowisku, że Koło polskie powinno żądać, aby ustawa kanałowa z 1901 roku wykonaną została w całości, to znaczy, aby przeprowadzono nie tylko kanał Wisła-Dniestr, lecz i Wisła-Dunaj. Od chwili, kiedy p. Głąbiński stał się ministrem kolejowym i kiedy minister Bienerth oznajmił niedwuznacznie, że rząd skłonny jest przy pewnych okolicznościach wybudować kanał wewnętrzny w Galicyi (Dniestr-Wisła), lecz że nie ma mowy o wprowadzeniu w życie całej ustawy kanałowej z 1901 r. — „Słowo Polskie“ wystąpiło z artykułem, dowodzącym szkodliwości dla kraju kanału Dunaj-Wisła. Manewr ten miał oczywiście na celu ułatwienie stanowiska p. Głąbińskiego jako ministra w stosunku do Koła i opinii kraju. P. Głąbiński, będąc prezesem Koła, zwalczał ostro posługiwanie § 14 konstytucyi, zostawszy ministrem, zaaprobował rozwiązanie parlamentu przez Bienertha i posługiwanie się tym nienawistnym paragrafem.

Czytelnicy pamiętają artykuły p. Grabskiego o konieczności szerokiej reformy wyborczej do Sejmu, pamiętają pochód, urządzony przez narodową demokracyę do Sejmu, na czele którego postępowała delegacya tego stronnictwa, która udała się do marszałka, aby wyrazić mu powszechne żądanie demokratycznej reformy do sejmu.

Wkrótce potem narodowa demokracya zachowaniem się swoim w sejmie umożliwiła większości konserwatywnej zawarcie „kompromisu“ w sprawie reformy wyborczej, korzystnego dla niej, niezbyt korzystnego dla szerokich kół społeczeństwa.

Wymówką dla wszechpolaków była niby obstrukcya rusińska. Nie może ona jednak usprawiedliwić tej taktyki. Istotnie, gdyby tłumaczenie to narodowych demokratów uznać za słuszne, wówczas należałoby najważniejsze sprawy sejmowe oddać na łaskę i niełaskę Rusinów, gdyż taktyka ich decydowałaby o tem, czy mogą być przeprowadzone, czy nie.

Co tu dużo mówić o stronnictwie niby „demokratycznem“, które we wszystkich zazwyczaj sprawach idzie ręka w rękę z najwsteczniejszymi żywiołami w Galicyi — z podolakami.

Rozumiem, że w sejmie mogła przejść tylko kompromisowa reforma wyborcza, ale już samo pozostawienie kuryi było kompromisem. Oprócz tego jednak zrobiono wiele innych ustępstw konserwatystom, osłabiających bardzo znacznie reformę.

Stosunek demokracyi narodowej do poszczególnych działaczy politycznych nie zależy zupełnie od jakichś przekonań, lecz od chwilowych interesów kliki, rządzącej stronnictwem.

Przed laty nieboszczyk Jan Popławski poróżnił się z ludowcami za to, że ci w paru okręgach wyborczych zawarli chwilowy blok ze Stojałowskim, którego uważał za jednostkę szkodliwą i nieuczciwą; w kilka lat później wszechpolacy zawarli ze Stojałowskim nietylko chwilowy blok wyborczy, lecz stałe przymierze, a p. Grabski publicznie, na pewnym zjeździe, rozgrzeszył tego szarlatana politycznego, twierdząc, że zarzuty robione mu ze stron różnych, są bezpodstawne. Tymczasem nic się nie zmieniło. Ks. Stojałowski z zarzutów się nie oczyścił wcale, nie przestał też być wstrętnym demagogiem. Cóż więc się stało? Nic, to tylko, że narodowa demokracya chciała koniecznie dojść do władzy i skupiała siły z różnych stron. Kilka głosów, którymi rozporządzał ks. Stojałowski, pociągnęło ku niemu wszechpolaków.

Oto inny przykład. Namiestnik Potocki, jak wiadomo, popierał gorąco narodową demokracyę przy wyborach w 1907 r., harmonia pomiędzy nimi a nim była zupełna; po pewnym czasie, kiedy namiestnik, w kilku podrzędnych sprawach niedogodził im — rozpoczęli przeciwko niemu gwałtowną kampanię w „Słowie Polskiem“. W r. 1907, ponieważ namiestnik Potocki ich popierał, uważali, że akcya jego jest konstytucyjna, że naczelnik kraju może być czynnym politykiem, a nie automatem tylko; w 1911 r. namiestnik Bobrzyński, uważając wszechpolaków za szkodników, zwalcza ich i dlatego „Słowo Polskie“ napada na namiestnika, zarzucając mu gwałcenie podstaw konstytucyi.

Trzeba odróżnić dwie rzeczy: nadużycia wyborcze, gwałcące ustawę, od akcyi politycznej namiestnika, wynikającej z jego przekonań.

W państwie konstytucyjnem rząd dążyć musi do tego, aby się oprzeć na jakiejś większości. Żaden polityk, mający jakie takie pojęcie o konstytucyonalizmie i parlamentaryzmie, nie weźmie za złe ministrowi tego, że stara się stworzyć dla rządów swoich większość w parlamencie.

W państwach złożonych, jak Austrya, w których, oprócz rządu centralnego, jest i rząd krajowy, ze znacznym stopniem samodzielności, nie można mieć za złe naczelnikowi rzędu krajowego tego, iż usiłuje mieć większość w sejmie i w reprezentacyi krajowej w parlamenie centralnym.

Namiestnik Bobrzyński ma prawo a nawet obowiązek szukać punktu oparcia w większości w Kole i w sejmie; namiestnik nie jest automatem, lecz politykiem i może i powinien oddziaływać na tworzenie się większości. Gdyby namiestnik nie robił tego, to oznaczałoby to, że nie ma zamiaru łączyć się z większością.

Zresztą p. Grabski rozumieć powinien, że w państwach konstytucyjnych stronnictwa dążą do władzy nie dlatego, aby spełniać ją automatycznie, lecz dlatego, aby robić z niego użytek dla swoich celów. Namiestnik Bobrzyński jest namiestnikiem i członkiem stronnictwa, mającym swoje przekonania.

Namiestnikowi wolno prowadzić swoją politykę, byle tylko nie naruszał ustaw. Jeżeli p. Grabski i jego przyjaciele polityczni znają fakty, wykazujące, że namiestnik gwałci prawo, aby tylko zgubić wszechpolaków, to niech te fakty przytoczą, a wówczas nawet ich wrogowie uznają, że im się krzywda dzieje. Dotychczas jednak „Słowo Polskie" żadnych faktów podobnych nie przytoczyło, powtórzyło tylko niedokładnie pewne rozmowy, co do których później musiało zamieścić sprostowanie.

Czy p. Grabski jest tak naiwny, iż przypuszcza, że ktokolwiek może mu wierzyć, że wraz ze swojem stronnictwem, dąży do władzy dlatego tylko, aby sprawować ją automatycznie? W gruncie rzeczy, narodowa demokracya gniewa się na namiestnika nie za to, że, jako namiestnik, uprawia politykę, lecz za to, że nie chce uprawiać jej polityki.

Ale w takim razie trzeba to powiedzieć wyraźnie, a nie blagować o tem, że podstawy życia konstytucyjnego w Galicyi są poderwane, że narodowi grozi niebezpieczeństwo.

Jeżeli narodowi demokraci dbają o czystość wyborów, to niech postawią konkretnie wnioski w tym względzie, tak jak to zrobił niedawno Daszyński.

Narodowi demokraci zarzucają wszystkim, co do nich nie należą, lub im nie sprzyjają, lekceważenie interesów narodowych. Zdaniem ich są złymi Polakami: socyaliści, ludowcy, konserwatyści krakowscy, demokraci bezprzymiotnikowi, Romanowicz, Daszyński, Śliwiński, Wysłouch, German, Świętochowski, Żeromski, Bobrzyński i wielu innych byli, albo są złymi Polakami, stosownie do konstelacyi politycznych w danym czasie.

Tylko panowie Grabski, Pawlikowski, Wasilewski, Głąbiński i inni członkowie narodowej demokracyi oraz niektórzy podolacy są dobrymi Polakami. Fanatyzm jest stary jak świat. Można zrozumieć fanatyzm ludzi bardzo religijnych, wierzących ślepo w pewne dogmaty, niepodobna jednak wierzyć w szczerość fanatyzmu ludzi, którzy zmieniali przekonania jak rękawiczki, którzy nigdy nie krępowali się tem, co mówili i pisali poprzednio.

Zresztą fanatykami mogą być ludzie, którzy dokładnie wiedzą czego chcą, tymczasem narodowi demokraci nie mają żadnego programu, jedynym ich programem stałym i konsekwentnym jest dążenie do zdobywania wyższych stanowisk w społeczeństwie i państwie.

Narodowi demokraci nigdy nie usiłowali poglądów swoich programowych uzasadniać, rzucają tylko zazwyczaj ogólnikowe hasła, które, stosownie do okoliczności interpretują.

Na czas jakiś zapożyczyli oni od p. Studnickiego program wyodrębnienia Galicyi, a właściwie znacznego rozszerzenia jej autonomii. Poseł Adam zrobił przed paru laty w sejmie pierwszy krok w tym kierunku, w formie wniosku. Sprawa ta jednak ucichła.

Narodowa demokracya uważa się za stronnictwo demokratyczne, ilekroć jednak ma decydować w sprawie rozszerzenia praw wyborczych do rozmaitych instytucyi, zawsze znajdzie jakiś powód, aby sprawę ubić, albo zepsuć. Tak było z reformą wyborczą do sejmu i do lwowskiej rady miejskiej.

Inne stronnictwa polityczne w Galicyi odegrały w swoim czasie rolę poważną i przyniosły krajowi pożytek. Demokraci i konserwatyści w latach 1848, a następnie w 1860—1867 zdobyli dla kraju ważną koncesyę, wywalczywszy mu poważne stanowisko w monarchii. Ludowcy wciągnęli w wir życia politycznego włościan, unaradowiając ich.

Co zrobili narodowi-demokraci? — Krzyczeli i intrygowali, odsądzali od czci i wiary całe stronnictwa i ludzi pojedynczych, zagarniali łapczywie instytucye, stworzone przez innych. Słowem, byli tylko rabusiami politycznymi i szulerami.

Głównym punktem ich polityki jest szczucie przeciwko Rusinom i Żydom.

P. Grabski nigdy się nie wypowiedział wyraźnie, co pragnie, aby namiestnik zrobił z Rusinami. Można się tylko domyślać, że chce jakichś represyi, ale jakich? Zdaje mu się, że Galicya jest folwarkiem narodowo-demokratycznym. Nie rozumie on tego, że Wiedeń ma swoją politykę i nie pozwoli na antyrusińskie awantury, że przeciwnie, musi mu zależeć na pozyskaniu Rusinów. Słowa cesarza, wypowiedziane do posłów rusińskich i do posła Tomaszewskiego, powinny były otrzeźwić tego nietrzeźwego polityka ze „Słowa Polskiego".

Narodowi demokraci marzyli od dawna, aby p. Wacław Zaleski zastąpił dra Bobrzyńskiego. Tymczasem minister dla Galicyi w swojej mowie kandydackiej położył nacisk na konieczność załagodzenia sporu polsko-rusińskiego. Ludzie obeznani z terenem wiedeńskim nie mogą myśleć inaczej.

Dmowski, skutkiem nieznajomości terenu rosyjskiego, popełnił wiele ciężkich błędów; pan Grabski, skutkiem nieznajomości terenu austryackiego, robi również ciężkie błędy.

W sprawach polityki zagranicznej, narodowi demokraci również nie mają żadnych określonych poglądów, jak nie ma ich ulubieniec poseł Kozłowski, który zresztą zna się na sprawach wojskowych i umie o nich mówić dość gruntownie.

Narodowi demokraci są impotensami politycznymi, są lekkomyślnymi blagierami, grającymi na najniższych instynktach.

Zwalczanie tej plagi narodowej jest konieczne. Ktokolwiek będzie ich osłabiać, rozbijać i niszczyć, będzie miał wielką zasługę.

Wystąpienie na szerszą arenę polityczną Pol. Str. Postęp. jest faktem dużej doniosłości, gdyż dotychczas nie było w Galicyi stronnictwa demokratyczno-postępowego z szerokim programem.

Dawni demokraci galicyjscy, są właściwie tylko umiarkowanymi liberałami, nie mającymi dużego zaufania do mas ludowych; ludowcy znowu są zanadto agraryuszami, aby mogli walczyć w imię ogólnego programu demokratycznego dla miast i wsi.

Polskie Stronnictwo postępowe nie jest stronnictwem stanowem, lecz łączy ludzi na gruncie idei demokratycznej, bez względu na to, czy są włościanami, drobno-mieszczanami, czy też uprawiają wolną profesyę, tworząc inteligencyę, lub inne koła społeczne. Pol. Str. Postęp. umieściło w swoim programie autonomię kulturalno-narodowościową, przez co stworzyło platformę do przeprowadzenia ugody polsko-rusińskiej. W programie swoim łączy ono dawne, najlepsze tradycye demokracyi polskiej z nowemi wymaganiami życia, domagając się reform społecznych, jak ochrony pracy w rozmaitych postaciach. Wejście do parlamentu nawet paru tylko członków tego stronnictwa mieć będzie duże znaczenie.

Słabą stroną demokratów bezprzymiotnikowych jest to, że nie umieją oni demokracyi narodowej przeciwstawić własnego programu, że walczą z nią o szczegóły, a nie zasadniczo.

Członkowie Pol. Str. Postęp., o ile wejdą do parlamentu, będą w Kole polskiem otwierali oczy demokratom bezprzymiotnikowym na różne sprawy, będą ich pchali na lewo i pilnowali, aby nie robili zbytnich ustępstw narodowej demokracyi; pozatem pracować będą w duchu urzeczywistnienia swojego programu.

O innych sprawach, złączonych z obecną akcyą wyborczą i przyszłem ukształtowaniem się stosunków w Kole, pomówię w drugim artykule.



K. STEFAŃSKI.

KRÓLESTWO POLSKIE A ROSYA W OSTATNIEM PIĘCIOLECIU.

I.

W ostatnich czasach publicyści i politycy, pisząc lub mówiąc o wyłaniającej się znów na widownię dziejową kwestyi polskiej, w większości wypadków wyrażają dość dziwne powątpiewanie. Chodzi im mianowicie o to, czy ta kwestya jest po dawnemu międzynarodową, czy też zeszła do rzędu spraw wewnętrznych poszczególnych państw rozbiorczych — czy nawet stała się kwestyą czysto kulturalną: sprawą utrzymania własnej kultury narodowej i języka. I trzeba przyznać, że większość zajmujących się nami publicystów traktuje sprawę polską, jeżeli już nie na podobieństwo wallijskiej w Anglii, lub bretońskiej we Francyi, to przynajmniej — jako czysto wewnętrzną sprawę Rosyi, Prus lub Austryi. Dochodzi do tego, że na takim gruncie stanęło stronnictwo wszechpolskie, dawniej mające pretensyę do monopolu polityki państwowości polskiej, a wódz jego, Dmowski, bardzo szeroko kwestyę tę omawiał w głośnem swego czasu dziełku: „Niemcy, Rosya i Sprawa Polska“, tłómaczonem na obce języki i reklamowanem zawzięcie. Niewielka jedynie część polityków naszych z niezmordowanym p. Wł. Studnickim, a ze stronnictw jedyna bodaj rewolucyjna P. P. S. stoi dziś bezwzględnie na stanowisku polskiej państwowości.

Nie wchodzi w zakres niniejszej mej pracy geneza i rozbiór tego zjawiska; zaznaczę tylko, że jeden choćby fakt, że sprawa polska jest podwaliną najtrwalszego bodaj aliansu w Europie — przymierza rosyjsko-pruskiego, wymownie świadczy o jej wybitnej międzynarodowości. Choć więc zeszła ona na czas jakiś z wokandy spraw bieżących dyplomacyi europejskiej, polityk konkretny zawsze musi liczyć się z tym jej charakterem.

Z drugiej jednak strony niepodobna zaprzeczyć faktowi, że dziś nie może być kwestya polska postawioną w ten sposób, jak przed półwiekiem. Program dawnych patryotów polskich odbudowania Rzeczpospolitej w dawnych granicach, jako państwa wyłącznie polskiego, nie może być traktowany poważnie; nie może być jednak również traktowaną poważnie i abdykacya z państwowości polskiej. Jest to absurd zupełny.

Niema bodaj nic bardziej zmiennego nad polityczne organizacye społeczeństw ludzkich t. j. państwa. Katedra medyolańska stoi niewzruszona mimo, że przez czas swego istnienia znajdowała się w księstwie Viscontich, despocyi Sforzów, kraju koronnym Habsburgów, rzeczpospolitej cyzalpińskiej, włoskiej, w królestwie lombardo-weneckiem i wreszcie w narodowem państwie włoskiem. Firma „Faber“ wyrabia ołówki, a za jej istnienia przeszło półtorej setki państw i państewek upadło i powstało. Od czasów też upadku Rzeczpospolitej naszej, zmieniła się do gruntu mapa polityczna Europy. Jak w kalejdoskopie zmieniały się państwa, znikały jedne, powstawały inne. Wśród zaś tego całego zamętu uwydatnia się jedno: giną po wielowiekowem istnieniu, często pełnem chwały, państwa, których racyą istnienia są t. zw. prawa historyczne, natomiast powstają i wzrastają państwa wynikające z potrzeb szerokich mas ludowych. Wystarczył śmiały atak Garibaldiego z „Tysiącem z Marsali“, aby w gruzy runęło królestwo Neapolu po 800 latach

historycznego życia, bez śladu zatopiły się liczne herzogstwa w masie pruskiej, „resztką historyczną“ stała się władczyni północy europejskiej Dania, po 1000 letnim wreszcie istnieniu wśród ogólnej obojętności runęło stygmatem religijnym uświęcone państwo kościelne. Po wielowiekowym natomiast letargu odradzają się kraje Słowian austryackich, po pół tysiącu lat w strasznej niewoli odzyskują niepodległość Serbia, Bułgarya i Grecya. Powstaje niezrozumiała wręcz z punktu widzenia praw historycznych Belgia, dwunarodowa, w tym czasie, kiedy jedna narodowość tworzy dwa niezależne państwa Danię i Norwegię i t. d. bez końca.

I my nie możemy być wyjątkiem. Politykę swą nie na prawach historycznych i nie na etnografii lecz na potrzebach życia opierać musimy. Przyszła polska państwowość nie na pergaminach Korwin Milewskich czy Pilawitów Potockich, lecz na pięści Maćków i Bartoszów musi pokładać nadzieje. I, niestety, musimy los innych narodów podzielić. Szyllera lub Kanta czci cała niemieckość, Niemiec jednak z Zurychu lub Wiednia unoszący się zachwytem nad monarchią Barbarossy, dość podejrzliwie spogląda na macierzyńskie objęcia monarchii Hohenzollernów; obywatel republiki francuskiej, mimo tradycye Charlemagna i Rolanda, pogodnie patrzy na odrębną państwowość Francuza z Jersey lub Belgii. Francuzi w Jersey, nie wyrzekną się Huga, Chateaubrianda, Lamartina, lecz stawiają pomniki na pamiątkę odparcia najazdu Francuzów z Boulogne i Calais; podobnych przykładów można przytoczyć setki.

Nie jest więc i dla nas tragedyą, że Polak z Poznania, Krakowa, Warszawy, Wilna lub Kijowa, jednakowo narodowo i kulturalnie jest Polakiem, jednakowo czci Mickiewicza i tradycyę Rzeczpospolitej, prowadząc jednocześnie zupełnie odrębną politykę. Wszechpolskiemi są narodowość i kultura, polityka musi być i jest dzielnicową-krajową, to fakt.

„Ci Polacy z Wilna są zupełnie inni, niż tamci w Poznaniu“ wyrzekł w 1812 r. Napoleon i mówił to nie tylko pod wrażeniem pozorów, jak wykazały nowe badania Iwaszkiewicza, Askenazego i Smolki; w r. 1813, gdy armia polska z ks. Józefem ginęła „za cześć imienia polskiego“ w bojach z koalicyą, najlepsze pułki jazdy rosyjskiej tworzyły zostające pod komendą Stanisława Potockiego, Czaplica i Witta pułki wołyńskie lub ukraińskie, przez Branickich i Rzewuskich sztyftowane; w 1817 roku Niemcewicz skarży się na niechęć Litwinów względem projektowanego przez Aleksandra I. połączenia Litwy i Rusi z Królestwem; w 1831 r. Chłopicki gotów był na żądanie rządu pruskiego aresztować przybyłych do armii polskiej poznańczyków, a Senat wolnego miasta Krakowa zabraniał uroczystości z powodu zwycięstw polskich i t. d. W nowszych zaś czasach — Koła Polskie w Berlinie i Wiedniu, Wielopolski w Królestwie, a stańczycy w Galicyi zapoczątkowali erę polityki krajowej-dzielnicowej i tylko w chwilach klęsk publicznych, jak wojna 31 i powstanie 63 r. w Królestwie lub głód na Śląsku 1881, występuje wzajemna łączność między dzielnicami; wpływ jednej dzielnicy na drugą jest wyrazem łączności narodowej.

Nie będzie więc herezyą, jeżeli będę mówił o polityce „Królestwa Polskiego“ i przedewszystkiem rozpatrzę stan prawno polityczny tego kraju.

Formalnie Królestwo Polskie jest odrębną jednostką polityczną. Widać to z § 4. Ustaw zasadniczych państwa rosyjskiego, który orzeka: „Z cesarskim tronem Wszechrosyi nierozdzielne są trony Królestwa Polskiego i W. Ks. Finlandzkiego“. Z aktów zaś międzynarodowych, ten charakter Królestwa zastrzega wyraźnie i stanowczo Acte Finale Traktatów wiedeńskich, gdzie Królestwo Polskie omawiane jest jako „państwo“ (Etât.). Co więcej dotąd nie został wydany żaden akt państwowy, wcielający Królestwo do Rosyi. Wszystkie bez wyjątku reformy, niszczące samodzielność Królestwa po 31 i 64 roku nosiły charakter tymczasowy. Zapoczątkowujący pierwszy okres represyi: Statut organiczny 1832 r. wypływał w dużym stopniu z zasad konstytucyi 1815 r.; rozpoczynający zaś erę „objedinieńja“ po 64 r. Manifest cesarski wyraźnie zapowiadał przywrócenie dawnych instytucyi po uspokojeniu kraju.

Było to wszystko oczywiście kłamstwo — faktycznie — Rosya zawsze w miarę sił dążyła do jak najściślejszego zespolenia Królestwa z Rosyą i do bezwzględnej rusyfikacyi ludności.

Ważniejszą dla polityki realnej kwestyą niż strona formalna, którą zahaczyliśmy pobieżnie, jest stan faktyczny rzeczy. Otóż i tu trzeba zaznaczyć, że mimo niesłychane wysiłki polityki rosyjskiej Królestwo zawsze było i jest krajem, odrębnie od Rosyi i rządzonym i urządzonym. Co więcej, to Królestwo w ciągu 80 lat przynależności swej do Rosyi zaledwie dwukrotnie i to na czas bardzo krótki (razem w ciągu 3 miesięcy) było rządzone inaczej, jak na zasadzie praw wyjątkowych, będących faktycznie stanem wojennym z dyktatoryalną władzą naczelnika kraju.

Od lat zaś czterdziestu naczelnik rządu w Królestwie, z tytułem generał-gubernatora, ma prawa, przysługujące wodzowi naczelnemu armii wojującej w kraju nieprzyjacielskim. Ludność Królestwa traktowaną jest jako buntownicza. Administracya i policya obdarzone są w stosunku do niej wyjątkowemi prawami i prerogatywami i składa się z małymi wyjątkami, i to na niższych stanowiskach wyłącznie, z Rosyan. Rosyanin, przybywający na służbę do Królestwa, otrzymuje specyalne wynagrodzenie dodatkowe i zwolniony jest od cenzusu służbowego i wykształceniowego, niezbędnego w Rosyi. Słowem faktycznie, stosunki Królestwa są typowe jako stosunki kraju, okupowanego wojskowo przez obce państwo. Inaczej też uważać Królestwa nie można.

Z drugiej znowu strony i rząd i społeczeństwo rosyjskie z takiego stanu rzeczy wyciągają konsekwencye. Kraj okupowany przez wojsko staje się pod względem ekonomicznym terenem wyzysku bezkarnego — czemś w rodzaju kolonii, tem też jest dla Rosyi Królestwo.

Rząd trzyma w Królestwie 180 tysięczną armię. Co to znaczy, zobaczymy, gdy przypomnimy sobie, iż Królestwo liczy 11 milionów ludności i że najbardziej militarne państwo współczesne, Niemcy, przy 60 milionowej ludności utrzymują 650 tysięczną armię; dalej, według urzędowych danych, jeden czynownik w Królestwie wypada na $3\frac{1}{2}$ wiorst kwadratowych powierzchni i 87 dorosłych mieszkańców. Królestwo więc jest polem zbytu dla nadmiaru inteligencyi.

Co się zaś tyczy społeczeństwa rosyjskiego, to wszystkie jego warstwy bez wyjątku przyjmują czynny udział w wyzyskiwaniu bezbronnego Królestwa pod osłoną armii i biurokracyi rosyjskiej.

Ziemiaństwo rosyjskie, wraz z młynarzami, wyjednawszy szereg taryf różniczkowych na kolejach, formalnie zasypują kraj mąką i zbożem; przemysłowcy zdawna czynią starania o przekształcenie Królestwa na swój rynek zbytu; kupcy masowo pchają się do Warszawy, Łodzi i innych wielkich miast Królestwa; chłopa setkami i z ogromnym nakładem osadza Bank włościański na wschodnich kresach kraju a w końcu kilkadziesiąt tysięcy proletaryatu znajduje corocznie stały i na swe potrzeby znakomity zarobek w Królestwie.

I nie jest to bynajmniej wynikiem rozwoju ekonomicznych stosunków Królestwa z Rosyą. Wszystko to jest sztucznym wytworem polityki rządowej i dzieje się jedynie dzięki protekcyi władz i olbrzymim zapomogom skarbowym. Władze dokładają wszelkich usiłowań, aby ułatwić „swoim“ konkurencyę z Królestwem, stąd też i cały szereg takich skutków, jak upośledzenie Królestwa pod względem inwestycyi gospodarczych, świadome i konsekwentne obniżanie poziomu kulturalnego kraju i ludności, gnębienie życia narodowego i kulturalnego, bezmyślna rusyfikacya i t. d.

Przejdźmy teraz do Rosyi.

(C. d. n.)

M. DĄBROWSKI.

OBRAZKI Z BELGII.

Bruksela 11. maja.

Na obszernych polach Waterloo zieleni się ruń aksamitna, przetykana gęsto bladoróżowymi stokrótkami. Olbrzymi kopiec *„lwi“*, jak kurhan mogilny wznosi swą nieforemną, ciężką masę. Przygniata sławę Francyi, ten widomy znak porażki zasad Wielkiej Rewolucyi, głoszonych paszczami armat wielkiego Condotiera pod Marengo, Austerlitz, Borodino...

Ironio losów! Z owych armat, z owych dział ulano lwa Wielko-brytańskiego. Jak brytan stoi na kopcu mogilnym lew spiżowy.

* * *

Vive la France! Vive Falieres!

Po latach, po strasznych latach, raz pierwszy przybywa w odwiedziny do kraju walecznych Belgów oficyalny przedstawiciel Francyi.

Miasto całe płonie kolorami jasnymi trójbarwnych sztandarów, łyska stalą kordonów wojskowych, które jeno broń prezentują, zda się opiekę i gościnność gwarantując „następcy“ Napoleona.

Piorunowe motywy „Marsylianki“ biją w niebo, zapalają, rzekł byś, stare domy miasta, przenikają w zacisze pałacu w Lacken. Ah, Lacken...

Blücher, po bitwie pod Waterloo, znalazł w furgonach wielkiego Condotiera Rewolucyi Francuskiej cały nakład odezw i proklamacyi, datowawanych z Lacken. Wieściły one niechybne zwycięstwo Francyi pod Waterloo.

* * *

Napoleon i Faliéres. Orzeł i indyk tuczony. Żołnierz i *marchand de vins*. Et, paralele historyczne!

* * *

Jest cudny pomnik francuskiej chwały na smutnych polach Waterloo. Przy skrzyżowaniu polnej „polskiej“ drogi ze wzorową „europejską“ szosą, zdala od kurhanu-mogiły, na miejscu, gdzie ginął czworobok ostatnich rycerzy Francyi Wielkiej’ wzniesiono skromny, biały nadgrobek.

Płyta kamienna, a na niej orzeł. W konwulsyach śmiertelnych, potrzaskanem skrzydłem, podziurawionem od kul wrażych, osłania ptak królewski sztandar trójkolorowy. Szponami wrósł w drzewce... Z piersi przebitej kulą, sączy się krew... Dziób zaparty zdaje się miotać to piekielne, policzkujące cesarzy i króla, prezydentów i ministrów słowo oficerka francuskiego, któremu kazano się poddać: *„Merde!“*

* * *

I że też nie przyszło do głowy „oficyalnej“ Francyi to straszne wspomnienie...

I tak się wszystko dobrze i wspaniale udało. „Marsylianka“, ciągle „Marsylianka“. Drzewa ją brukselskie grają, powtarza bruk uliczny — Zaniesie ją wicher do Waterloo.

Barwne, złocone uniformy napoleońskie *Guide’ów i Lancierów*.

„Marsylianka“. Mój Boże, dziś nawet Mikołaj II wysłuchuje już bez drżenia „Marsylianki“.

* * *

Zaraz, za chwilę o, już, — donosi się z serca Polski, z miasta Kilińskich, Josielowiczów, bezimiennych czwartaków, Traugutłów, Okrzejow, Mireckich ta szatańska, zabójczo urągająca melodya:

Boże caria chrani!

A później, później, oh coś, co jeno we wspomnieniu przeżyć można — owa zasłyszana raz w Belwederze melodya legionów polskich. Grały ją w roku 1905-ym Kornety moskiewskich ułanów...

Dopełnia się urągowisko. Zamiera myśl...

Vive la France! Vive la république!

„Le jour de gloire est arrivé!“

A brytan spiżowy na kopcu-mogile sennie porusza kulę...

„Jeszcze Polska nie zginęła!“ „W nahajki!“
„Szaszki na goło!“

NELA MIŁKOWSKA.

KILKA UWAG O FILARECYI.

Z pośród ugrupowań młodzieży, Filarecya, najmniej tradycyi poza sobą mająca, powstała jako wyraz potrzeby stworzenia nowej pracy wśród młodzieży — budzi największe nadzieje. Od zjazdu paryskiego (styczeń 1911. r.) stała się ona skupieniem 12 stowarzyszeń, — liczy blizko 500 członków. Pierwszy jej zjazd leodyjski (wrzesień 1910) — nosił cechy mgławicowości i pewnego chaosu, z pośród którego wyszła odezwa, przyjęta przez wszystkich delegatów i zdawałoby się, streszczająca dążenia filareckie. Odezwa o szerokim zakresie, kreśląca w sposób żywy i wolny od doktryny plan pracy. Nieco ogólnikowa, ale mogąca się przerodzić w żniwo konkretnych czynów, gdyby z jej uczuciowego tła wysnuć logiczne konsekwencye i bezpośrednio nasuwające się wskazania. I rzecz charakterystyczna: odezwa ta, przeniesiona do stowarzyszeń spotkała się w wielu z nich z ostrą, nieprzychylną krytyką. Zjazd II. był krytyki tej wyrazem. Na zjeździe tym wysłańcy galicyjskich stowarzyszeń i paru delegatów

zagranicznych powiedziało wyraźnie, że z tymi „mistycznymi i mglistymi“ frazesami niechcą mieć do czynienia, że kształcenie charakteru i woli, praca nad poznaniem kraju, jego historyi, literatury, sztuki i inne piękne hasła samowychowania są rzeczą dobrą dla szkoły, lecz młodzież uniwersytecka winna przedewszystkiem z klasami pracującemi do ich wyzwolenia dążyć. Z przemówień tego odłamu zjazdowego wynikało jasno, iż Filarecya ma stać się pomocną partyi rezerwą, wyrabiającą młodzież na członków pewnego określonego politycznego odłamu. — Nie przesądzając o wartości partyi, o którą tu chodziło — nasuwa się pytanie: więc znowu powrót do dawnej metody, więc znowu przenoszenie spraw i walk politycznych do środowisk młodzieży, która jeszcze nie stała się sobą?

W jakim kierunku rozwijać się będzie Filarecya nadal — niewiadomo. Czy stanie się tylko odmianą istniejących stowarzyszeń, czy też przerodzi się w prawdziwie nową organizacyę młodzieży, z której wyjdą zastępy obywateli wykształconych, silnych, nowe życie tworzących? — W każdym bądź razie Filarecya, która jest skupieniem ludzi młodych, nieuprzedzonych, pełnych entuzyazmu i gotowości do pracy — mogłaby łatwiej, niż inne zbiorowiska studenckie zapoczątkować nieznany typ życia stowarzyszeniowego. Ma drogę otwartą i zadanie wdzięczne.

Stowarzyszenia filareckie mogą stać się instytucyami wychowawczemi, stać się polem doświadczalnem, na którem wzrastać będzie obywatel polski. Celu tego dotychczasowe stowarzyszenia młodzieży, żyjące luźnie, karmiące się stereotypowemi dyskusyami i rzadkimi odczytami, ograniczające działalność swą do organizowania bratnich pomocy i czytelń — nie miały. Są to skupienia o p r z y p a d k o w y m programie działania i jałowem życiu wewnętrznem Poza działalnością partyjną młodzież nieumiała wytworzyć zwartej, celowej akcyi. Taka zaś rzecz, jak jednoczenie się w zbiorowości dla ćwiczenia i przygotowywania do szeroko pojętego życia we własnem społeczeństwie, branie w tem życiu udziału już dzisiaj, — jest potrzebą, jest wymaganiem, jakie stawia doba dziejowa, w której żyjemy. Nie wązkich teoretyków i dogmatyków pewnej partyi potrzebuje ta chwila, lecz ludzi wykształconych, wszechstronnych, zahartowanych i silnych, umiejących słowa w czyn wcielać, i świadomie a niezmordowanie zmierzających do celu.

Młodzież ma przed sobą wszelkie możliwości, jej wolno uczynić życie swe, jakiem zechce — może zakładać burszowskie kółka, może politykować, ale może również „zestrzelić myśli w jedno ognisko i w jedno ognisko duchy“.

Może wyrzucić z siebie pieśń, zrodzoną w najczystszych tajniach swej duszy, może powołać najlepsze, najpiękniejsze moce, może rycerstwo swego ducha rozskrzydlić orlem piórem i zapalić ogniem natchnienia, może młodzież polska być zdolną do pracy wielkiej. — Jej wolno wybierać.

Narządy niećwiczone giną, a najpiękniejsze kwiaty rodzą się na właściwem sobie podłożu. Należy więc stwarzać środowiska, w których mogłyby ćwiczyć się siły ducha i rodzić kwiaty czynu.

By stać się szkołami energii, organizacye młodzieży muszą zerwać z wieloma tradycyami i zmienić swą formę, nie mówiąc już o treści. Dotychczasowe stowarzyszenia mają głównie na celu tworzenie i utrzymywanie bibliotek i czytelni, które skupiają kolonie, — od czasu do czasu odczyt jakiś, lub wiec odrywa młodzież od jej studyów i stanowi „rozrywkę“ polską; gdzieniegdzie istnieją kółka samokształcenia, funkcyonujące przeważnie z imienia i rozwijające się wątło; niekiedy dla spraw doraźnych powoływane zostają „komisye“, które po krótkiem funkcyonowaniu zamierają, — duży zasób energii wkładają niektóre stowarzyszenia w zorganizowanie dorocznego balu „polskiego“, na pomoc bratnią, czytelni, lub jakiś inny cel; gdzienlegdzie powstają kółka dramatyczne i śpiewacze. W pośród masy stowarzyszeniowej wiedzie rej kilku ludzi, którzy nadają jej kierunek dowolny, ożywiają, przewodzą; — gdy ich nie staje — stowarzyszenie martwieje. — Tak wygląda życie studenckich kół polskich zagranicą. Wieje od niego martwota, czczość, nuda. Gdzież jest ich młodość górna — a chmurna, wylatująca ponad poziomy? — Szablon tu miarą, a chochoł przygrywa na fujarce przeciętności.

Niema w tych zbiorowiskach żadnej rękojmi na wykształcenie indywidualności, niema właściwie wspólnego życia, niema zaprawiania się w pracy społecznej. 3000 młodzieży, rozsianej obecnie zagranicą, kształci się na specyalistów, lecz jakże mało wpośród niej ludzi, którzy potrafią po powrocie do kraju nie być obcymi przybyszami, lecz przywieść mu — poza swą wiedzą fachową — bogatą treść duchową, wyrobienie obywatelskie i zdolność do budowania nowego życia.

Zagadnienie stało się poważnem. Przed laty młodzież polska, studyująca zagranicą, była nieliczną; dziś bardzo wielki jej zastęp rozprószył się po uczelniach Europy i za lat parę powróci do kraju. Niech nie powraca obcy, niech nie wraca dla objęcia posad i zdobycia karyery. Niech wraca, by wziąć w ręce młot i kielnię, by stać się odpowiedzialnym za „teraźniejszość“ polską.

Stowarzyszenia młodzieży nie mogą być jeno placówkami dyskusyjnego i towarzyskiego życia. Muszą one przedewszystkiem wyrabiać jednostkę czynną; i z tego względu dbać winny o intensywne zbiorowe życie. Większe skupienia powinny się rozbijać na drobniejsze, równoległe koła, lub komisye, z których każda będzie miała określoną pracę do wykonania. Komisye te, czy koła, muszą funkcyonować stale, gromadzić się często, przygotowując na zebranie materyał faktyczny, opracowany w odstępach między-zebraniowych. Należy wprowadzić podział w pracy, rozłożyć ją częściowo na wszystkich lub dać każdemu do wykonania rzecz, którą najlepiej spełnić potrafi i za którą staje się odpowiedzialny. Przy tego rodzaju współpracownictwie wszystkich członków koła – zarząd staje się jedynie ośrodkiem, skupiającym i czuwającym nad techniką zebrań, zbieraniem składek, wysyłaniem listów. Nie ma i nie może mieć dominującego znaczenia; ustrój koła staje się prawdziwie demokratycznym. Pojedynczy członkowie uczą się pracować i spełniać sumiennie podjęte zobowiązania; indywidualności, nie mające odwagi, pozbawione pewności siebie, ludzie zwykle milczący, usuwający się od głosowania, chwiejni, ukrywający się za plecami innych i przytakujący — wyprowadzeni na widownię wspólnego życia z niemowlęctwa i niemoty uczą się samodzielności, nabierają odwagi, wyzwalają z nieśmiałości i gniotącej ich samych bezosobowości, odnajdując dla siebie formę czynu. Po dłuższem ćwiczeniu się w stowarzyszeniowem życiu, po wielokrotnem a nieodzownem ścieraniu się różnych osobowości — wytwarza się życie wspólne i tem owocniej podejmowane zostają prace.

Oprócz zebrań wewnętrznych, stowarzyszenie, o ile złożone jest z wielu kół, jednoczy je dla sprawozdawczych zebrań, lub w kwestyach ogólniejszej natury.

A teraz jeszcze parę słów o treści tego przypuszczalnego filareckiego nowego życia. Bez względu na posiadanie czytelni i biblioteki, które są konieczne *), działalność filaretów zagranicznych obej-

---

*) W braku wszakże lokalu własnego, stowarzyszenia o niewielkiej ilości członków mogą posługiwać się czytelnią i biblioteką ruchomą.

mowaćby mogła kształcenie się dwojakiego rodzaju: 1) zaznajomienie się z przeszłością i teraźniejszością życia Polski, przez studya nad jej historyą, sztuką, przez badanie życia współczesnego i rozwoju instytucyi, warunków pracy, stosunków ekonomicznych, i t. d. (praca ta w większych stowarzyszeniach prowadzićby się dała w kołach); 2) dokładne poznawanie życia kraju, w którym się przebywa, a więc nie zamykanie oczu na to, co się w Szwajcaryi, Niemczech, Belgii i t. d. dzieje, lecz wpatrzenie się w zmienne, twórcze życie narodów Europy, poznawanie ich instytucyi państwowych, społecznych i wychowawczych. Możliwie praktyczne, naoczne, osobiste przyglądanie się im. Zaznajomienie się z ruchami ideowymi, które nadają życiu danego społeczeństwa ton. Śledzenie życia umysłowego i artystycznego. Wycieczki zbiorowe. Zwiedzanie ważnych i pięknych miejscowości, muzeów, szkół, fabryk; przyglądanie się życiu zbiorowemu, demonstracyom, zabawom, uroczystościom. Notowanie swych uwag. Każdy członek koła winien obrać sobie jakąś specyalność pod tym względem i kolegom w wycieczce przewodniczyć, służąc wyjaśnieniami. Dzięki takiej metodzie młodzież zużytkowuje materyał, którego dostarcza zagranica, nabiera spostrzegawczości, uczy się porównywać — i potrafi stosować zdobyte doświadczenie, kształci sąd własny a przedewszystkiem nie przestaje stykać się z życiem.

Oprócz prac powyższych wydaje mi się możliwem podjęcie przez młodzież i wogóle skupienia polskie zagranicą pewnych robót, które będą w bezpośrednim związku z życiem Polski; a mianowicie można w porozumieniu z rozmaitemi instytucyami zbierać dla nich materyały i dane, gromadzić systematyczne i planowe spostrzeżenia, które tam na miejscu zużytkowane odpowiednio zostaną, każde ze środowisk polskich zagranicą winno mieć wpośród siebie ludzi, którzyby w sposób dojrzały i uczciwy informowali pisma nasze o życiu krajów obcych, dając artykuły czy korespondencye, nie ślizgające się po powierzchni życia, lecz zawierające jego obraz istotny, — rugując stopniowo płytkie i puste, a często zmyślone wiadomostki, któremi dziennikarstwo nasze raczy ogół polski. Artykuły i notatki, przesyłane Polsce, stanowić będą nić łączną pomiędzy nami i krajem. Pracą naszą piśmienniczą możemy służyć również pismom oświatowym, dziennikom i tygodnikom popularnym, — a wypełniając zadanie to poważnie i sumiennie możemy wpłynąć na podniesienie tych częstokroć z braku dobrych współpracowników zaniedbanych wydawnictw. Przez zbieranie materyałów o szkolnictwie, uniwersytetach i uniwersytetach ludowych, którebyśmy stale analogicznym instytucyom naszym nadsyłali — możemy również współpracować z niemi. Wspomnę również, że koniecznem jest stałe i powszechne opodatkowanie się na rzecz pewnych instytucyi, jak n. p. przyjęty w tym roku przez Filarecyę podatek oświatowy, — równorzędnie istniećby powinien podatek na więźniów politycznych.

Bardzo ważną sprawą jest zajęcie się emigrującymi robotnikami polskimi, — utworzenie biur wyszukiwania pracy, jak to już uczynił Zurych, założenie uczelni dla tychże robotników, pokazanie im kraju, do którego przybyli, wprowadzenie ich do wspólnego środowiska polskiego.

Wreszcie stworzenie w porozumieniu ze stowarzyszeniami krajowemi biur informacyjnych dla emigrującego do Ameryki ludu, rozciągnięcie opieki nad nimi, uchylenie interwencyi pośredników.

Powyższe uwagi nie obejmują wszystkiej możliwej treści życia młodzieży, są one jedynie wzięte, jako przykład, wyjęte z olbrzymiej mnogości i różnolitości prac niewykonanych. — Nie o szczegóły chodzi, lecz o istotę rzeczy, o zmianę i podniesienie tonu życia środowisk polskich, znajdujących się na dobrowolnej lub przymusowej emigracyi. Przebywanie za granicą Polski nie jest wytłumaczeniem bezczynności i od udziału w pracy nie uwalnia.

Chodzi nam o to, by należenie do stowarzyszenia młodzieży nie było nijakiem, do niczego nie zobowiązującem. Natężona praca wspólna, jej p l a n o w o ś ć, o d p o w i e d z i a l n o ś ć, ż y w o t n o ś ć i płodność stanowią rękojmię ważnej sprawy samowychowania. Nasza przysłowiowa niezaradność, słabość, lekceważenie zobowiązań, niedbalstwo i brak ciągłości w przeprowadzaniu zamiarów, nasz romantyzm pragnień, a nieudolność czynów — muszą być wzięte w dyscyplinę dobrowolną, muszą i mogą ustąpić na skutek ćwiczenia woli i pracy nad sobą; przekształcone stowarzyszenia wytworzą atmosferę po temu niezbędną.

Doroczne zjazdy zjednoczonych stowarzyszeń nie wystarczają dla łącznej pracy. Oprócz zjazdów winnaby się ustalić, przynajmniej co kwartał ponawiana, wymiana sprawozdań, któreby zawierały obraz życia stowarzyszenia, szkic wykonanych i zamierzonych prac.

Wymiana referatów gdzieniegdzie zapoczątkowaną już została. Młodzież, przebywająca zagranicą nie powinnaby zapominać jeszcze o jednem: — o swem znaczeniu, jako przedstawicielstwa narodowego. Każdy z nas jest tu obrazem polskiej całości; jesteśmy tutaj wysłańcami, którzy gdy mogą i umieją, niech o Polsce mówią, o jej historyi, sztuce i życiu współczesnem, bądź drogą odczytów, bądź przez udział w miejscowej prasie. Na wszystkich nas wszakże leży wymaganie wzbudzenia do Polski szacunku. Opinia bowiem europejska do uogólnień jest skłonną.

Młodzież filarecka nie skrystalizowała się jeszcze i ma przed sobą wszelkie możliwości. Praca wewnętrzna niektórych stowarzyszeń, kwestyonaryusz w sprawie wsi polskiej, działalność „Koła kooperatystycznego“ Filarecyi wiedeńskiej, utworzenie „komisyi oświatowej“ we Fryburgu, dobra wola ujawniona na zjazdach wróżyć mogą, że Filarecya wniesie nowe do życia młodzieży pierwiastki.

*

Idzie ku młodzieży wezwanie od Polski, by zrozumiała przedświtową jej chwilę, by od doktryny wolna — podjęła dwie sprawy, które przed sobą Polak ma — walkę z niewolą narodu, co jak rdza pokryła jego życie — i walkę z krzywdą społeczną. — Srebrzystym dźwiękiem duszy niech odpowie młodzież i niech rozpocznie prastarą, piastową, cudną pracę zasiewu swej ziemi.



JAN KLECZYŃSKI.

JULEK.

PORTRET WSPÓŁCZESNY. 2)

Czy ona wiedziała, że ją kochał?—O tak! Domyślała się. — Był jednym z wielu „wielbicieli“... Nie znosił tych błaznów, których każde dotknięcie, każde spojrzenie ubliżało jej... Gdy zastawał ją w tem towarzystwie, uciekał — A ona zapytywała go figlarnie, czemu odchodzi... Żal jej było, że odchodził... zatrzymywała go — a on zostawał — znów się zrywał, nie mógł się zdecydować. — Wtedy jej było jakby smutno na jedną chwilkę — zaczynała z nim rozmowę... Tak, wyróżniała go, choć miał wtedy lat siedmnaście...

Ach, gdyby on był bogaty! On przecież chciał porzucić gimnazyum, starać się o posadę— napróżno. —

Jakiż on był głupi i śmieszny!

Zakrył oczy rękami. Płakał z wściekłości. Był niczem.

Ach, patrzeć na nią było szczęściem! Słyszeć jej śmiech, jej głos nizki, jakby młodzieńczy, dźwięczny, jak dzwon, prawie altowy, taki serdeczny! Ona dobra jest, wesoła, bujna, bawiła się, szalała — i lubiła go — tak —

— Julku — pójdziesz ze mną na spacer?

To „r“ mówiła trochę niewyraźnie. Jakby „lr“ albo „rl“ Było to coś jak „spacel“.

Omdlewał z zachwytu, gdy sobie to przypomniał.

Mówiła naprzykład „Trlup“ zamiast „trup“ Albo kiedy śpiewała z operetki:

— „Bo blasza —, bo blasza —, bo blaszany lrycerz był!“

„Lrycerz“!!

Czy może być coś cudowniejszego?!

Kiedy wyszli na spacer, był jak w niebie. Mówili wtedy poważnie, serdecznie, wesoło. Jej głos dźwięczał mu w samem sercu. Mówili o życiu, o uczuciach, o wrażeniach, o literaturze, o sztuce, o teatrze — ach jakże ona chciała być śpiewaczką! Śpiew „Carmen!“ Tak się rozumieli! Tak mieli podobne uczucia! Ona była tak naturalna, prosta, szczera! Tak kochała wolność, życie!

Weszli w las, na polankę na wzgórku. Przez młode sosenki i brzozy widać było bezmierną przestrzeń falujących pól. Las pachniał, szumiał zlekka. Było cicho.

We dwoje, sami... Szczęście mu rozrywało piersi. Mówił, plątając się coraz bardziej. Gdy patrzał na nią nieśmiało, drżał z zachwytu. W białym kapelusiku, takiej „budce“ co otaczała jej twarz, była cudem. Z tych białych ram wyglądała jej różowa twarz, jeszcze bardziej błyszczały pod łukami czarnych brwi jej złoto zielone oczy, jeszcze bardziej olśniewająco jaśniały jej zdrowe zęby w uśmiechu purpurowych, dosyć szerokich warg.

Julek zatrzymał oddech, przymknął oczy.

A potem, ona, zmęczona, siadła i po chwili położyła się na trawie. On położył się przy niej. Oczy jej były tak blizko, oddech jej był tak blizko, usta śmiały się tak blizko jego ust. — Leżeli tak i rozmawiali.

Przygarnąć ją? — wyciągnąć ku niej rękę? Oh nie — oh nie! — To było tak cudne, niech by wieczność trwało. Nie było w tem z jej strony ani źdźbła kokieteryi. Wtedy? — o nie. Ach, ona go nigdy nie kokietowała. Czy ona myślała wtedy o jego ustach? Może. Ale nie ośmieliła go ani jednym gestem, ani cieniem spojrzenia. Jak brat i siostra — och tak, tak. — Ona możeby i chciała, żeby on ją całował — ona go tak lubiła. Ale ona się bała, że on się „naprawdę“ w niej zakocha. Ona była dobra. Ona go lubiła jak brata. Ona czuła, że on jest inny, niż ta hołota, co ją otaczała. Hołota? — A teraz — może już jest narzeczoną — tego — tego — jednego, któremu on współczuł, bo odgadywał, że ją również naprawdę kocha — tego, co cierpiał jej wybryki, tego, co nie był błaznem — on jeden — smutny na śmierć, zgrzytający zębami na jej kokieterye — i — starszy o jakie pięć — ośm — dziesięć lat od niego, Julka, ucznia gimnazyum, śmiesznego smarkacza, co uczył się malować, dużo czytał, dużo myślał — i marzył, marzył — tyle tylko o nim wiedziano.

Julek skurczył się z bólu, z upokorzenia.

— O tak — to więcej, niż możliwe, że ten jeden, ten smutny, zdobędzie ją. On całować będzie jej usta — on ją otoczy ramionami, będzie ją miał na własność — ją lekką, jak sen, młodą, jak słońce, ją — płomień — marzenie — świętość — ją, tę cudną dziewczynę, którą on tylko, on, Julek, rozumiał i czcił — on tylko, Julek, by dał jej szczęście — on tylko by wierzył jej... Ah, on pozwoliłby jej kokietować na prawo i na lewo i sam by tak samo się bawił — po to tylko, żeby potem śmiać się we dwoje do szaleństwa z tych błaznów — i kochać się — prosto, wesoło, słonecznie, ogniście, do zapamiętania.

Julek łkał.

Już tak dawno nie miał od niej wiadomości. W ostatnich latach tak rzadko się widywali. Gdzież jemu było jechać tam, daleko, gdzie ona mieszkała? — Pod jakim pozorem? — Konkurent? Ah... „wielbicielem“ być przecie już nie chciał — to zanadto straszne upokorzenie.

Ostatni raz ją widział przed samem uwięzieniem. Była jakaś smutna, jeszcze bardziej serdeczna. Tak, jakby chciała się go poradzić...

Julek przypomina sobie — tak jakby chciała się go poradzić, czy wyjść za tego „smutnego“ tak — pamięta, jak mu się jakoś gorzko w ustach zrobiło... Jego — poradzić się o to! Jego! To nie było wyraźne nawet — tak — on nie dopuścił do tego, żeby było wyraźne.

A może właśnie źle zrobił, że przerwał tę rozmowę? Może ona dlatego chciała się go poradzić, że... że... chciała się... może przekonać, czy on, Julek, ją kocha...

Jakiś okropny śmiech wybuchnął mu z gardła, jakby to kto inny w nim się roześmiał.

— Durniu! Idyoto! Błaźnie! krzyczał do siebie, bił się po twarzy, zrywał się, padał na siennik, wił się jak w konwulsyach.

— Przecież nie wiesz napewno, czy ona rzeczywiście o tem chciała rozmawiać!!

— I cóż by jej było po twojej miłości, durniu?! — Nawet suchego chleba byś jej nie dał — nawet nędzy! — Nic! — Jakie by to było życie? — gdzie? — Czekać na ciebie? — Ile? Pięć, dziewięć lat — dwadzieścia? I to mało! Karyerowiczem nie jesteś — nawet sława — Ha? — Kiedyż ty będziesz sławnym? — I czy ty dbasz o to? Uczynić coś wielkiego — tak — ale być sławnym?! — — —

— Marność. — — —

Ach, ale gdyby to można być sławnym za to, co się wielkiego uczyniło! Gdyby to sława nie przychodziła dopiero po śmierci...

Obleciała go chmara płomieni.

Sława!!

Z zapartym oddechem wsłuchiwał się w szumiące morze ludzkie, co wykrzykiwało jego imię — Spoglądano nań z podziwem, z zazdrością.

— Wielki — wielki! —

A on stał spokojny, jak na szczycie kolumny — on, Juliusz Bielski, równy Cezarom — on, odnowiciel ludzkości, twórca nowej wiary, nowej wolności, filozof i artysta, twórca nowej sztuki.

Szaleństwo dumy gorzało w nim.

Cóż mi szczęście? — cóż miłość?

Ach, gdyby jednak można uczynić Jadzię szczęśliwą swoją wielkością... To byłby jakiś szaleńczy pochód, olbrzymi płomień szczęścia, co by piorunem spadł na ludzkość całą i nauczył ją żyć, pogardzać groszem, gonić za tem, co wielkie, mocne, deptające słabość, za tem, co wolne, ach, wolne ponad śmierć, wyzwolone od śmierci!

Niema śmierci!

Czuł się nieśmiertelnym.

A gdyby była i śmierć — to może właśnie lepiej. Ach, bo nieśmiertelnie cierpieć — nieśmiertelnie tęsknić — co za los! co za los!

Zapatrzył się w tę ukochaną myśl.

Umiera. Duch jego ulatuje ponad ziemię, obejmuje chmury, roztapia się w mroźnych przestworzach, ach nie! — jak statek potężny rozwiera sobą wichry nadziemne, wiry eteru i płynie, płynie, olbrzymiejąc, coraz dalej, sięga księżyca, oplata go sobą — jakże śmieszny ten daleki błyszczący trup, jakże mały!

Leci dalej, słońce przewierca go promieniami, a on lśni w tych oślepiających blaskach, jak kometa. Wszystkie zmysły stopiły się w nim w jeność. Nie ma ani wzroku, ani słuchu, ani dotyku, ani powonienia — wszystko w nim jasnowidzącem czuciem. Leci w dal olbrzymim, nagłym rzutem — słońca, gwiazdy wokoło, mleczne drogi wirują, w bezmiarach płyną miękkie jak śnieg szmaragdy, lśniące klejnoty wszelkich barw i blasków burzą się koło niego, jakby wnętrza wulkanów, potoki lawy rozpalonej go otaczają, chmury złotych gwiazd pędzą w te krwawe mgławice, straszliwe dźwięki walących się skał dzwonią naokoło, w nim, wszędy, wszędy — chaos tęczowy — rozigrała się orkiestra przeraźliwa wszechświata — chwilami boskie harmonie grają naokoło, to znów okropne dysonanse, jęki, wrzaski, wycia, huki i drgania, zapada wszystko, zapada — i znów wnet wypływa jak na spokojną ciszę morza w błękitny, słoneczny dzień — i znów pustka, bezmierne złote drogi roztwierają się przed nim, wieją w nich wichry bezgraniczne, pachnie nieskończoność — och ten zapach nieskończoności — ta wolność gwiazdowa, bez dna i bez pokrywy, bez ścian i oparcia — jak łabędź srebrzysty płynie jego duch, łabędź wszechpotężny, mocom kosmicznym bratni — ogarnia sobą materyę, światy, cierpi, tworzy — tworzy nowe życia, cierpiące, krwawe, milczące — i sam jest — sam — sam. —

Nagle, w tym twórczym wirze świata uczuwa, że jest sam.

Ach, może i nie sam jest — ale jakże się tu spotkać w bezmiarach? — Jakże sobą, duchem swoim wypełnić nieskończoność? — Bo wtedy by tylko się odnaleźli — w jedno stopili się, szczęśliwi wszechmocą ludzką.

Ale on, duch olbrzymi, jest tylko drobnym atomem — Bogu jest równy, lecz cząstką jego jest tylko Ona — jego duch bratni, błądzi gdzieś w bezmiarach. I ją otaczają gwiazdy, morza, wichry, płomienie — i ona posyła tęsknoty swoje w nieskończoność — za nim — za nim napróżno.

I oto porywają go fale tęsknoty nieśmiertelnej, kołyszą go, podrzucają, jak belkę rozbitego okrętu, włóczą, jak wicher kwiaty zerwane po kamieniach, unoszą jak wiatr swawolny unosi list miłosny, pisany przez poetę w samotnej izdebce, na oknie, przy świetle migocących latarni, w płaczu, w nadmiarze uczucia, nieśmiertelnego, jak on. — Ach wyją wichry po gwiazdach, w pył roznoszą mgławice, słońca ciskają na siebie i niosą jego tęsknotę, wichry nieśmiertelne, wolne, stęsknione, jak on. — Ach, idą fale za falami, fale morza bez dna, fale gwiazd i bytów tęczowych, fale nieskończoności, fale, co brzegów swoich szukają, brzegów utraconych na wieki — brzegów, coby im dały wybróbować moc swoją, ryczeć i pienić się na skałach, strącać w odmęty granity, bulgotać sennie na piasku, śnić przy świetle księżyca i cicho, rytmicznie, o brzegi uderzać — leniwie chlupotać — i walczyć, marzyć — i żyć.

Ach tak — żyć! — żyć!

Rozpłomienił się Julek — a lodowate prądy prężyły mu się po ciele, jak żywe słupy ciemnych, straszliwych sił.

Rosła mu głowa, olbrzymiały ramiona. Nie śmiał ręką poruszyć, bo rozwali wszystko wokoło.

I nagle błysk oślepiający.

— I ja jestem niczem?!

— Ha, śmieszni ludzie! — Czyż nie widzicie tych marzeń na mojej twarzy? Czyż nie przedzierają się przez czoło moje złotym nimbem? Czy oczy moje nie świecą płomieniem? Czy usta moje nie drgają namiętnością, w której na dzień powszedni jest więcej ognia, niż w was przez całe życie? Ludzie nikczemni, ludzie słabi, ludzie — bracia moi, ja was poprowadzę — na spiekotę tęsknot żarzących — na głuche tundry nieszczęścia, na straszną śmierć w bojach ognistych, wstrząsających ziemią, na twarde, uparte walki codziennego dnia, na ciche bohaterstwa cierpliwych, krwawych poświęceń, na zajadłą pracę, na opór wszelkiej przemocy, na wolność dusz i ciał waszych, na apostolstwo tryumfującego, twórczego życia!

Wstał. (C. d. n.)

ZE SZTUKI.

SYDIR TWERDOCHLIB: WYSTAWA TRZECH.

Skromny, lecz artystyczny afisz p. Błockiego niedługo zapowiadał otwarcie tej wystawy. Intellektualne pospólstwo, zgorszone nagością dziecka na afiszu, stąpającego po cierniach z gałązką magnolii w ręku, zdzieraniem tego rysunku po ulicach Lwowa dało wyraz nieświadomej, atawistycznej nienawiści tłumu do dzieci muzy. W Paryżu lub w Rzymie z miejsca zlynchowanoby takich adoratorów figowego listka, czy portek, we Lwowie nawet prasa codzienna nie zaprotestowała. I ruch ręki głupca nie rodzi się z niczego; sądzę, że w tym wypadku należałoby szukać źródła „czynu“ w tem, że za dużo obywateli z tych okolic za życia ubezpiecza się na premię po śmierci.

Uwaga ta nasunęła mi się po drodze do pałacyku przy ul. Mochnackiego, gdzie urządzono wystawę. Wszedłszy, odetchnąłem z uczuciem pewnej ulgi. Romantycy szukali dawniej tchu w zielonym borze, na łonie przyrody, my dziś, znużeni szarością fali, płynącej codziennie po brukach swojskiej stolicy, pełniej oddychamy w bibliotekach, salach koncertowych, czy na wystawach sztuki, jak gdyby to były przeobrażone, nowoczesne katakomby, gdzie my, pokolenie zbożnych i zmęczonych młodych w skupienie uciec możemy od krzykliwej bezmyślności tłumu i bezwstydu jego udawania, że wie, poco żyje.

Patrzmy dzisiaj w skupieniu na kwiecie, zebrane z wiosennych dusz. Zaczniemy od najmłodszej i najplastyczniejszej psyche Kurczyńskiego.

Jeden z marmurów K. zatytułowany jest „Myśl“. Oto wyłania się ona ze surowej bryły chaosu, urzeczywistniając się w cielesnym kształcie kobiecej główki. A kiedy usta rozchylają się z wyrazem nawpół żdziwienia nad pięknem wszechświata, nawpół grozy nad jego ostatecznem przeznaczeniem, oczy patrzą jasnowidzeniem Parki, snującej nić żywota, i ze smutkiem Meduzy, zamieniającej spojrzeniem w kamień.

Czyżby pod tem spojrzeniem, idąc „per aspera“, skamieniała w niemej boleści ta kobieca postać naprzeciw?

Stajemy przed kompozycyą K. „Per aspera“, widząc, jak świadomie ułożył artysta szatę w płaskie, jakgdyby ciosane, powierzchnie. Kanciaste płaszczyzny rękawów, to jakby reminiscencye gotyki, umyślnie zatarte. Piętno nieubłagania, uzyskane przez to umiejętne modelowanie szaty, jeszcze bardziej potęguje gest boleśnie załamanych rąk i surowość twardego, męskiego prawie, profilu głowy. Najwyższy punkt rzeźby łagodzi nieukojny nastrój całości. Może by uniknąć przesady, artysta, zamiast wieńca męczeństwa, dał tej postaci koronę z ułożonych w łuk włosów. To prawdziwsze.

Wysoce nastrojowa kompozycya „Muzyk“. Jest w tej męskiej postaci przedzieranie się przez niewidzialną gąszcz przeciwieństw: jakdyby muzyk ten niósł nie cello, ale całe brzemię życia. A chociaż zdawałoby się, że do wyrażenia w symbolu tego rodzaju koncepcyi, bardziej nada się np. duża staroświecka wiola, to jednak w rzeźbie K. i cello, ten zwykły, dekoracyjny w liniach, a tak konkretny instrument wyraża to, co wyrazić było zamiarem artysty. Tłómaczymy sobie to ustosunkowaniem form samego instrumentu do niosącej go postaci i ich wzajemnem uzależnieniem.

Z kolei wspomnieć należy o kompozycyjnym szkicu „Excelsior“. Skrzydlaty geniusz, rwąc się w Ikarowym pędzie ku błękitom, nagle uczuł ciężar swych skrzydeł i stanął znieruchomiały, z głową podniesioną w spazmie męki, z piersią, dumnie wyprężoną na zatrute strzały życia.

Obok — jedno z najcenniejszych dzieł K. — „Madonna z kwiatami“. W pochyleniu główki słodycz niepokalania. Położenie rączki na kwiatach — to prawdziwy akord muzyczny: pod dotknięciem tej rączki różyczki polne zmieniają się w małe cientkie dzwonki, z kryształu rznięte; z ich drżenia płynie cherubińska muzyka, brzmiąca hymnem nieziemskiego dziewictwa.

O parę kroków „Legenda“. Pod krzyżem stanęła wśród cierniów dziewczyna. Zawiesiła w szczerej ofierze białą chustę na krzyżu i, otulona jej rąbkiem, stoi w skupieniu i smutku, jakdyby czuła, że pod nią — grób...

Z mniejszych płaskorzeźb na uwagę zasługują: „Matka“ z ledwie zaznaczonemi konturami twarzy dziecka koło twarzy matczynej, modelowanej tak, jakby modelował japoński rzeźbiarz-modernista. Dalej „Wspomnienie“. Jest to zestawienie dwu różnie traktowanych twarzy jednej i tej samej kobiecej głowy: jedna z nich wyrazista, realistyczna — to twarz rzeczywista, a druga, zalana falą czasu, ujrzana niby w wizyjnej perspektywie wspomnienia.

Nadzwyczaj subtelny w wykonaniu jest medalion pani Z., jakkolwiek główka ta nie jest „z mgły i z potoku piany“, lecz — dosłownie — urodziła się z gliny.

W portretach Kurczyńskiego, w każdym poszczególnym wypadku uderza widza szukanie najstosowniejszej techniki, odpowiadającej charakterowi modelowanej głowy. Z jednej strony chroni to artystę przed niebezpieczeństwem popadnięcia w manierę, z drugiej bardzo dodatnio zaznacza się w samych biustach. Biusty te — myślą. Oto — posiadający bajeczną czaszkę portret poety Jackowa, urobiony na wzór starowłoskich mistrzów rzeźby. Impresyonistycznie traktowany portret rzeźbiarza T.; ma ta głowa coś z Fauna i coś z Chrystusa. Z dużym rozmachem rzucone studyum portretowe S. T., to znowu inne studyum a la Rodin („Cień“), pełen prostoty portret małego plebeja „Bolka“ i — obok znanego już skądinąd, pięknego marmuru „Portretu p. W.“ o samych krągłych płaszczyznach — najlepszy, głęboko nastrojowy portret muzyka. Głowa tego muzyka naprawdę słucha ostatnich tonów zamierającego preludyum, odegranego przezeń jego niewidocznemi dla nas rękami, znajdującemi się gdzieś poniżej, leżącemi na klawiszach, już nieruchomo...

Jeśli jeszcze wyliczymy Biedermeierowski „Pojazd“, pochodzący — jak sądzę — z pierwszego okresu twórczości K., a wystawiony, myślę, dla retrospekcyi, i interesującą grupę, zatytułowaną „Woźnica paryski“, będziemy mieli prawie wszystko, co wystawić uważał Kurczyński za odpowiednie.

Jakżeż inny jest ten Kurczyński od Kurczyńskiego, autora licznych dekoracyjnych rzeźb, znanych z frontonów nowszych lwowskich kamienic! Tam była — sprawność, tu — twórczość, tam — zręczność, tu — artyzm. Tamten Kurczyński, to pracownik dla chleba, ten — to poeta. I temu Kurczyńskiemu-poecie należałoby uczynić niepotrzebnem zarobkowanie dekoracyami, by mógł w skupieniu wykuwać postać geniusza, z ducha tworzyć dzieło swego życia. Czy się to stanie — zobaczymy.

A teraz przejdźmy ku wystawionym obrazom.

Pp. Wodyńskiego i Błockiego, jako twórców, przedewszystkiem znamionuje jedno: spokój. Jest to właściwością nie tyle może ich temperamentu, bo ten tu i ówdzie w ich dziełach przecież się ujawnia, ile ich dziś już prawie sformułowanego artystycznego światopoglądu. Teraz bowiem, w czasach

gorączkowej twórczości i olbrzymiego współzawodnictwa w świecie sztuki, albo dojrzewa się wcześnie, przez ustawiczne kształcenie talentu wysiłkiem pracy, albo przestaje się tworzyć. Jest to, do pewnego stopnia ekonomiczna, kwestya bytu w królestwie sztuki, równoległa do analogicznych zagadnień w życiu społecznem.

Więc i pp. Wodyński i Błocki, obaj młodzi ludzie, przez sumienną pracę wcześnie się rozwinęli jako twórcy i osiągnęli już jeden z dalszych etapów swej sztuki.

Stwierdziwszy tę wspólną właściwość obydwu, spróbujmy odgraniczyć to, co charakteryzuje każdego z nich, jako odmienne indywidualności.

Otóż najpierw w pejzażach. Sądzę, że Błocki jest więcej kolorystą, dlatego też w swoich pejzażach, wśród których jest wiele pięknych, wybierze częściej bogactwo barw, chociaż ich nigdy nie przejaskrawi, a równocześnie pewność rysunku (którą najlepiej widać na akwafortach) nęci go do opracowywania szczegółów. Stąd w pejzażach jego przeważają te o małych porspektywach i stąd rzadziej się wśród nich spotyka wybitnie nastrojowe. Jednak widza one dłużej zajmują.

Natomiast Wodyński najczęściej ogarnia okiem odrazu większe przestrzenie, a ponieważ ma bardziej impresyonistyczną intuicyę, nie poświęca zbyt wiele czasu szczegółom, zaznacza je tylko barwnemi plamami, a za to widocznie chodzi mu o zestrojenie całości.

To zaznaczanie tylko barwnemi plamami, wyjątkowo zaszkodziło pejzażowi „Sine oko“, gdzie staw, za mało wyraźny, nie tłómaczy się dosyć jasno, tak że w pierwszej chwili blaski światła na nieruchomem tle wody wydawały mi się białym dymem — natomiast bardzo szczęśliwie tym środkiem właśnie wydobył artysta nastrój w swym może najlepszym pejzażu „Kiesań“ (dolina znana ze starodawnego poematu „Słowo o pułku Igora“), a subtelną łagodność w „Brzózkach“.

Ma Wodyński przekonanie, że za wiele barw rozstrzela uwagę widza, to też z małemi wyjątkami eksperymentuje w pejzażu dwiema-trzema barwami, najczęściej zieloną i błękitną, albo białą i czarną (lub jakąś spokrewnioną z tą ostatnią).

Inne barwy na pejzaż nakłada z palety bardzo oszczędnie, akcesoryjnie tylko. Nigdy jednak nie można mu zarzucić skąpstwa, ani ubóstwa.

Te odrębne właściwości i zamiłowania Wodyńskiego i Błockiego, widoczne w traktowaniu pejzażów, dadzą się przy większej uwadze zaobserwować także w niektórych portretach i stąd np. wynikła gobelinowość pierwszego planu w najlepszym portrecie Błockiego, niby-Velasquezowskim „Włodziu na polowaniu“, stąd Wodyńskiego „Portret p-ny G.“ ma tyle harmonii i delikatnej świeżości w ujęciu, że możnaby go śmiało i bez obawy posądzenia o pretensyonalność, nazwać „Wiosna“ i uważać za wysnutą z marzenia kompozycyę. Kiedyindziej znowu cechuje Wod. dążenie do stylowości w potrecie. (Portrety pani T., pani K. J. Błockiego, wreszcie Kurczyńskiego z przepysznemi, trochę bizatyńskiemi, figurkami z drzewa w tle, jakby dla zaznaczenia, że portretowany — to artysta-plastyk). Z portretów Wod. wyliczyć jeszcze muszę dwa bardzo piękne w charakterze, dra P. i p. G., i portret dzieci pp. L., na którym chłopczyk zwłaszcza, malowany jest ze szczerym sentymentem.

Eksperymentatorem-myślicielem jest znowu Błocki w trzech portretach p. K. H. Wybrał sobie typ assyryjski głowy, jako model, i tkaninę z assyryjskimi ornamentami, jako tło, i przybliżając, to znowu oddalając je od siebie, badał wynikające z tego konsekwencye w traktowaniu wymiarów głowy i kolorowych plam tła. W dużym portrecie weterana, p. K., chodziło Błockiemu o wydobycie nastroju w twarzy, co też w zupełności otrzymał.

Piękną zaletą Błockiego jest próbowanie swych sił w twórczej kompozycyi. Czasem posługuje się i tu obserwacyą („W czarnej masce“, „Przystole“, czasem, zda się, drgnie mu pędzel jakąś daleką, obcą reminiscencyą (chłopczyk z ligawką w „Chrystusie“), jednak tak czyste kompozycye Błockiego, jak „Topielica“, „Przy oknie“ (olejny obraz, łudzący, że to pastel), i dekoratywna „Bajka“, a także rodzajowy, realistyczny „Grajek“), obiecują na przyszłość dzieła bardzo poważne.

Kończąc sprawozdanie o „Wystawie trzech“, podkreślam, że niejedno jeszcze powinienbym o pięknej sztuce pp. Błockiego, Kurczyńskiego i Wodyńskiego zaznaczyć, ograniczać się jednak muszę, by nie nadużywać gościnności „Życia“.

Dr. ALEKSANDER LISIEWICZ.

NEMEZIS.

Powtórzę u wstępu komunał, często już przytaczany. Trudno, tak jest istotnie. Żyjemy teraz daleko szybciej. Nie tylko fizycznie. Razem z potężnym okresem rozwoju środków komunikacyjnych, telefonów, telegrafów, czem raz to ciekawszej formy, razem z przepotężnym rozmachem i wpływem prasy peryodycznej wzrósł i rozmach życiowy ogółu. Jakaś gorączka gna i pędzi ludzi do interesowania się wszystkiem, co się dzieje na kuli ziemskiej.

Rano, w południe i wieczorem przynosi gazeta wiadomości z całego świata, zaciekawia też cały świat nietylko wielkiemi zdarzeniami dziejowej doniosłości, ale każdy światek miejscowy zdarzeniami najbliższego środowiska ludzkiego.

Ale ten pęd jest tak wielki, ciągły, niepowstrzymany, że co chwila jak w kalejdoskopie pchają się coraz to nowe obrazy przed oczy, zacierając wspomnienie poprzednich.

Zwyczajny śmiertelnik z trudem kojarzy te wspomnienia i obrazy w całość, nieraz zatraca ich związek ze sobą wzajemny, nieraz macha ręką nad dnia wczorajszego historyą, dzisiaj niezmiernie szybko już przebrzmiałą, którą tylko sumienny dziejopis w całość układa i krytycznie rozbiera, aby dla potomnych jakiś ślad ludzkich prac i walk i zabiegów pozostał.

Są jednak jeszcze niektórzy, co tego wątku zdarzeń i wypadków nie stracili.

To ci, którym los dał władzę do kierowania ludźmi i wypadkami, to ci także, którzy swoją wolę tym zdarzeniom przeciwstawić chcieli, to ci wreszcie, którzy działając wedle jakiegoś programu lub mając cel zamierzony do osiągnięcia

o swej tylko drodze pamiętają i głusi na wszystkie inne z powodzi faktów, zdarzeń, pogłosek, działań. Troskliwie potrzebne dla siebie cegiełki wybierają, aby z nich zamierzoną budowę wystawić.

Ale nie każdemu dano dzieło doprowadzić do końca.

Jeden ma szczęście. Współdziałanie życzliwych, szybkość wypadków, potrzeba chwili — wszystko składa się na powodzenie, czasem szalone. Nawet po trupach przeciwników zdobywa tryumfy i przodownictwo w tym swoim światku miejscowym.

Inni natrafili na zapory i przeszkody złośliwe, umyślne, na złą, jak się mówi, chwilę padają...

I w jednym i drugim wypadku życie bieżące w szalonym pędzie przelatuje nad ludźmi, zda się zimno, obojętnie.

Dzisiaj sławi się to, co wczoraj było przedmiotem pogardy, a biedny śmiertelnik, chwytając codziennie głosy prasy, jeżeli go jakiś splot faktów, czy działanie ludzi, to chwalonych, to potępianych w czambuł, istotnie zaciekawi, z trudem pyta i szuka i zgaduje, gdzie leży prawda?...

W naszym światku lwowskim zaczyna się już wrzenie.

W przeciągu kilku miejsięcy życie publiczne zbiegiem okoliczności dostało niezwykłej podniety.

Wybory miejskie stworzyły arenę zapasów znanych dostatecznie.

Koło mieszczańskie złączyło się ze stronnictwem narodowo-demokratycznem. Stworzono tz. blok niby narodowy a właściwie czysto reakcyjny, czysto egoistyczny dla zaspokojenia ambicyjek osobistych. Blok zwyciężył. Jeszcze przed wyborami przywódcy bloku tryumfalnie owładnęli ratuszem.

Po wyborze hymny zwycięskie zagrzmiały na całej linii.

Zwycięzcy nie mogli doczekać się chwili, w której rydwan tryumfalny przejdzie po *forum* a wieńce, kwiaty, hołdy zaczną łechtać ich wzrok, zmysły, zjednywać im tłumy klientów, pochlebców, wielbicieli...

Vae victis! grzmiało w organach bloku — zwyciężeni znikli z powierzchni, zdziesiątkowani, czy pogromieni (jak się nawet niedawni towarzysze broni i przyjaciele o swych braciach i sprzymierzeńcach wyrażać raczyli, kiedy nie było interesu bronić sprawy przegranej), — historya zamknęła kartę jakiejś epoki życia.

Dla „klubu reformy“ w radzie miejskiej, dla przedstawicielstwa polskiego Stronnictwa postępowego zaczęły się dni gorzkie.

Przyjaciele i życzliwi przypominali lub wytykali błędy w działaniu, lub ganili taktykę w pracy przedwyborczej, przeciwnicy zwycięzcy z lekceważeniem zaczęli patrzeć na pogrążonych.

Lecz zdarzenia nawet w małym, jak nasz, światku mają swój podkład nie tylko faktyczny, ale także ideowy, lecz prawidła jakiejś logiki mimo wszystko istnieją i rządzić muszą, choćby budowniczy, tworzący dla siebie, egoistycznie chciał przełamać wszystko i stworzywszy spoisko materyałów, nie znoszących się nawzajem, osądził, że to budowa monumentalna.

Blok narodowy, to właśnie ta monumentalna budowla.

Blok narodowy, to potężna większość 60 głosów na 100, mająca rządzić miastem, mająca narzucać wolę narodowi.

Blok narodowy zdobył twierdzę mieszczaństwa, blok narodowy zdobył ratusz, blok narodowy zaczął dyktować wszystko.

Ustąpili z placu przeciwny. Z góry już rozdano posady i stanowiska. Już był prezydent i wiceprezydent miasta, już zamianowano z góry przyszłego delegata rady szkolnej krajowej, ba nawet już są dyrektorowie i syndycy nieistniejącej jeszcze miejskiej kasy oszczędności i nawet mówi się głośno, jakie kto dostanie dostawy i jaki udział w milionowym interesie koszarowym...

I oto przyszło coś, co naraz wbrew przewidywaniom i obliczeniom bloku zachwiewa i podrywa budowę tak śmiało i monumentalnie, jak sądzono, wytworzoną. Nie wiadomo jeszcze mimo wszystko, czy rydwan zwycięski przewiezie zwycięzców przez ulice miasta. Nie widać wcale, aby pogromieni zniknęli z placu boju.

Ucichły zwycięskie surmy, bohaterowie i półbogowie z dnia 28 lutego mają już miny wcale nie tryumfalne.

Co się stało?

Wszak uroczyste nabożeństwo rozpoczęło 9 maja okres rządów nowej rady miasta, rady zwycięskiej, w której blok narodowy dyktuje wszystko!

Dla czego nie zaczynają rządów, dla czego złoty łańcuch nie zdobi jeszcze piersi przywódców, którzy wiedli hufce do boju, do tryumfów, którzy ten tryumf swój tak szumnie głosili?

Dla czego?..

To niespodzianka — na imię jej: Nemezis!

Przyszła nagle, gwałtownie, wbrew ludzkim obliczeniom.

Najpierw gdzieś tam, Wiedniu, jakiś Bienerth rozwiązał, licho wie po co, parlament.

Dawniej byłoby to głupstwem. Kazało się, wybrano.

Niestety, teraz wybory są powszechne.

Robi się ferment, ludzie chodzą, naradzają się, krzyczą, upominają się o swoje prawa, o swoje krzywdy i co najgorsza, blok narodowy we Lwowie nikomu nie imponuje.

Konwentyklem kilku czy kilkunastu ludzi nie można zagwoździć wszystkiego. Przepłacić także nie łatwo, raz dla tego, bo świeżo przy wyborach miejskich za dużo poszło pieniędzy, a potem potrzeba ich zbyt wiele, aby pójść na takie masy, a wreszcie krzywdzeni nie zrobią wszystkiego za pieniądze i dla pieniędzy. Ich coś boli istotnie, oni chcą naprawdę lekarza-przyjaciela, a nie lekarza-szarlatana!

A dalej parlament ma swoje wymagania i interes kraju i narodu nie koniecznie jest interesem wstecznego bloku egoistów! Zresztą opinia! Coś i dla niej trzeba zrobić!

Można sobie pozwolić na cichy lub półgłośny antysemityzm, tam gdzie ogół żydowski nie ma głosów, lub może być sterroryzowany, ale tu naraz mówi kraj cały. Tu naraz powstaje sytuacya, że ogół żydowski istotnie rozstrzyga, kto będzie posłem. Ach, jaka szkoda, że się tak

niepotrzebnie z rady świeżo powyrzucało tylu żydów, mówią teraz zafrasowani przywódcy (już za chwilę starzy przyjaciele żydów) bloku narodowego.

Jaka szkoda, że się zbyt głośno szło przeciw powszechnemu głosowaniu! Zafrasowany i nowy kandydat na prezydenta, smucą się nadnarodowi wodzowie endecyi.

Jak tu wybrnąć z położenia? Na gwałt schodzą się wybrańcy, pieczętują dawny układ, rozdzielają Lwów między siebie, krzyczą i głoszą:

Kończmy. Dzielimy miasto. My i wy tylko mamy prawo do rządów do przedstawicielstwa i tu w ratuszu i w sejmie i w parlamencie!

Podyktowali, klapnęło. Echo nie odpowiedziało.

To wybory powszechne, to liczenie się z opinią, to odruch mas.

Terror *„Słowa pol.“*, *„Gońca“*, choćby razem z *„Dziennikiem pol.“* już w tej chwili nie działa.

Najpierw masy ani rusz nie dają sobie narzucić woli konwentyklu. Czterdzieści tysięcy wyborców — a na przeciw kilku panów z koła mieszczańskiego i kilku półbogów endecyi!

Potem coś tam bąkają o namiestniku, o rządzie, że i tam skromne pada słówko o interesach ogółu, o prawach stronnictw politycznych do życia. Na „strzelnicy“ i w ulicy Zimorowicza (Słowo polskie) — nie kończy się świat a blok jeszcze nie stał się dyktatorem z woli narodu!

Na dobitek dalsza trudność. Przymierze zawarte było, byle zwyciężyć do rady.

Ale interes miasta, ale interes ogółu był za nawiasem.

Kiedy otrzeźwienie przyszło po zwycięstwie, zaczęto myśleć. Czy naprawdę dobrze będzie, jeżeli byle kto dostanie się na fotele prezydyalne dzięki układowi? Czy zyska miasto na iksie lub ipsylonie? czy istotnie dobrem będzie wyrzucenie żydów za nawias? Czy nie wolno nic krytykować? A może lepiej nie drażnić zbyt opinii?

Refleksye na ten temat, konieczność liczenia się z pewnemi realnemi prawami życia, a wreszcie faktyczne stosunki osobiste, porachunki między przywódcami nawet w łonie klubu mieszczańskiego, stworzyły już dzisiaj fatalną sytuacyę. Kto będzie prezydentem i jak się ułożą rządy — mimo zwycięstwa bloku nikt napewne nie wie.

To jedna nemezis!

Ale przyszła już i druga Przeciw wyborom, mimo usiłowań, aby sprawy szły najciszej, najgładziej, weszły protesty.

Blok machnął pogardliwie ręką!

Głupstwo. Stworzono komisyę sprawdzającą wybory ze samych przyjaciół bloku, przemocą narzucając większość. Aby uniknąć skandalu na pierwszem uroczystem posiedzeniu skutkiem protestu zwyciężonych dostał się jednak do niej także jeden reformista.

Niby wszystko gładko. Doświadczony parlamentarzysta, przyjaciel, prezes niedawny koła mieszczan, przewodniczy komisyi.

Naturalnie on da radę — większość pomoże.

Cóż robić jednak? Przepis i wymaganie opozycyi zmusza do czytania wieloarkuszowej skargi.

Zaczyna się wysuwać cała martyrologia wyborów ostatnich.

Jak żarzące węgle padają na dusze ludzkie słowa pełne wyrzutów:

Tysiące niedoręczonych kart wyborczych.

Głosowanie nieboszczyków.

Duplikaty i doręczenia kart do rąk niepowołanych.

Terror, gwałt, przemoc...

Skargi sądowe na gwałty... Liczenia głosów po komisyach wbrew przepisom.

Wyszukiwanie głosów uprzywilejowanym.

A wreszcie korona wszystkiego: rozbicie zamku od skrzyni z kartami i pogwałcenie tajemnicy wyborów...

Cała litania grzechów!

Od 9 maja i tryumfalego pochodu wybrańców bloku na ratusz tygodnie mijają.

Biedzi się komisya słuchając świadków, biedzi się rozmyślając, jak wybrnie z kłopotu, jak wybieli ściany gmachu, które zbrudziła i skalała dłoń tych, co tak kunsztownie budowali „wolę wyborców“, aby wbrew interesom narodu, wbrew interesom miasta postawić na czele stolicy kraju tych, co idą po trupach drugich dla zaspokojenia przesadnej ambicyi, nie liczącej się z niczem innem, prócz swojego „ja“.

Wybrnie i wybieli może — ale na chwilę tylko.

Nemezis przyszła — nemezis jest.

Zwycięzcy blokowi, to nie wybrańcy narodu, to nie głos sumienia obywatelskiego. Odpowiedź narodu nadchodzi.

Tylko słuchajcie! Wytężcie słuch! Wytężcie słuch!

Z TEATRU.

(„MÓJ PRZYJACIEL TADZIO“ — „AGLAVENA i SELISETTA“).

(S. F.) Komedya i farsa z rynku paryskiego sprowadzona cieszy się na scenie, jak u publiczności naszej nadzwyczajnymi względami. Widz spieszy do teatru zapominając o wszelkich postulatach, jakie zwykł stawiać dziełom sztuki, spieszy pewny, że usłyszy kilka dowcipów i zobaczy kilka sytuacyi do łez rozśmieszających jednem słowem publiczność przynosi dyspozycye wprost świetne, zapewniające powodzenie produktom różnych spółek nadsekwańskich.

Pp. A. Rivoir i L. Besnard zawiedli te pełne oczekiwania i pobłażliwości sentymenty publiczności lwowskiej. „Mój przyjaciel Tadzio“ nie zadowolił najprymitywniejszych życzeń. Już przed wzniesieniem kurtyny zrezygnowaliśmy z takich wymagań, jak pewnej charakterystyki osób, nieco interesujących intryg i ciekawszej fabuły — jednak wybaczyć nie można autorom Tadzia tak nudnych trzech aktów, tak niezręcznie spreparowanych postaci i sytuacyi, tak niefrancuskich dowcipów i dziecinnych wycieczek na stosunki polityczne jak towarzyskie w szanownej Republice.

Prócz tej choroby wewnętrznej wszystko sprzysięgło się na życie „Mego przyjaciela Tadzia“: i tłumacz i arty-

ści, którzy z nielicznymi wyjątkami grzeszyli nieprzygotowaniem. W pierwszym akcie, toczącym się jak po grudzie, można było zasnąć spokojnie tak dzięki autorom jak wykonawcom — jedynie sufler, tego wieczoru nazbyt sumienny, przeszkadzał...

Pamięciowo opanował rolę p. Biegański, czem wyróżniał się sympatycznie, chociaż rolę paryskiego Don Juana pojął bardzo sentymentalnie. P. Feldmanowi za starania wydobycia czegoś z nudnej roli bohatera — dzięki. P. Solska znów wykazała, że nawet w tak marnej komedyi jest pole do popisu, że nawet tak papierową rolę talent potrafi ożywić i grą swą wywołać podziw i zainteresowanie publiczności do końca tego nudnego i usypiającego płodu spółki francuskiej.

Pomijając kwestyę sceniczności dramatów Maeterlincka zgodzić się trzeba na to, że są one symfoniami stanów psychicznych i jako takie przy wzorowej wystawie i intuicyjnem zrozumieniu intencyi autora działają tą muzyką słowa na słuchacza. Ale też wymagają one nadzwyczajnego wniknięcia i zrozumienia zadań, jakie artystom stawia autor.

„Aglawena i Selisetta“ jest poematem, którego przedmiotem jest uświadomienie wielkiej miłości i ofiara kobiety. „Miłość jest okrutniejsza od nienawiści“ — to motyw, jaki od początku przewija się przez cały ten poemat miłosny. Miłość dobra, miłość bez skazy, bez łez i bolów — to tęsknota dusz, jakie autor ukazuje na scenie. I wszystkie tony i odcienie, wszyskie sny i drżenia, zachwyty i trwogi bezbrzeżne dźwięczą w tej symfonii. Jednak przeznaczenie jest nieubłagane i zazdrosne: nie dane jest na ziemi zjednoczyć się w wzajemnej miłości i wznieść się ponad smutki i bóle. — Miłość wymaga ofiar i poświęcenia. Ktoś zawsze przychodzi za późno, lub za wcześnie — kto winien? Miłość jest ptakiem, którego nie znamy, o którym nie wiemy, czy uleci z klatki, czy zginie w piersi naszej...

Maeterlinck nie daje żadnych stosunków, żadnych ludzi z życia: daje trzy dusze i przed oczyma rozwija wstęgę ich przeżyć, snów i obudzeń. Osnową jest odwieczna baśń, przez niego w nowej formie i w nowem oświetleniu wyśpiewana: dwie kobiety walczą o miłość, lecz dusze te fałszu życia i jego podłostek nieświadome. To też forma tej walki inna, niecodzienna.

Walkę tę przeniósł poeta na stary zamek, w którego komnatach, parku i na wieży rozwijają się sceny. Dramat to jakby w śnie oglądany, obrazy jakby z starych gobelinów wzięte. Sceny przesuwają się cicho, jakby w wielkiej od nas odległości, z ziemią niczem nie związane, już nie ziemskie, a jednak sferą zagadnień tak bardzo ludzkie.

Z przybyciem Aglaweny na zamek, Selisetta budzi się i uświadamia sobie ogromną miłość, jaką żywi do Meleandra. Widzi, jak oni oboje z dnia na dzień coraz więcej do siebie się zbliżając. Budzi się zazdrość w jej sercu, a równocześnie poznając Aglawenę, jej dobroć i piękność poczyna ją kochać i podziwia. Cierpienie i łzy skrywa przed wszystkimi i sama rozmyśla nad sobą i swym stosunkiem do nich dwojga. Łez nie może jednak ukryć przed babką, z której ust pada wreszcie wyrok: ta, która przybyła za późno, ma umrzeć, lub odejść. Lecz na ten wyrok bezwzględny nie godzi się dobra dusza Selisetty. Zapatrzona w mądrość i dobroć Aglaweny, w scenie najpiękniejszej w dramacie usiłuje, nie zdradzając swych zamiarów, dowiedzieć się, czy ona postąpiłaby na jej miejscu zgodnie z powziętem niedawno postanowieniem. Aglawena zdradza się, wyrażając obawę o życie Selisetty — to upewnia dziewczynę, uszczęśliwioną już następstwem swego poświęcenia: jej śmierć da szczęście kochankom. Rzuca się z wieży...

W ostatnim akcie, na łożu śmierci nie chce wyznać, prawdy, by nie zburzyć tego szczęścia. Kochankowie jednak znają już całą tragedyę i przy zwłokach zmarłej widzą, jak cień olbrzymi ofiary Selisetty zawisnął na wieki nad ich miłością.

Powtarzam, że dramat Maeterlincka jest symfonią, w której zgodnie z zamiarami twórcy musi panować jeden ton zasadniczy, nastrój muzyczny, jaki autor roztoczył nad scenami.

Temu nastrojowi musi się podporządkować tak dekorator jak i artyści, których rolę sam Maeterlinck określił wyznając, że jego dzieła to — „drames pour marionettes“.

Na naszej scenie wystawiono „Aglawenę i Selisettę“ bez zarzutu. Starania dekoratorów chwalebne. W grze artystów widać też było zrozumienie tonu i intencyi autora, jednak nie wszystko zadowalało. Dla p. Solskiej rola Selisetty jakby stworzona. Lecz rola Meleandra najsłabsza, bo najmniej indywidualnie nakreślona, w dramacie stawiała wielkie trudności p. Adwentowiczowi. Przy ocenie gry tego artysty musimy pamiętać, że Meleander to tylko bierny przedmiot miłości dwóch kobiet, wobec których zachowuje się nazbyt niejasno: nie ma w nim miejsca dla żadnej samodzielnej akcyi, ani inicyatywy. P. Adwentowicz dał mimo to postać jednolitą, dostosował się do nastroju dramatu i w niektórych silniejszych momentach, jak w scenie pierwszej aktu drugiego, gdy jasno określa stosunek wiążący go z Aglaweną, grał i wygłaszał śliczną prozę Maeterlincka świetnie. P. Siemaszkowa nie trafiła w ton dramatu: nazbyt rozpaczne westchnienia towarzyszące każdemu słowu, nazbyt tragiczne akcentowanie pewnych uczuć i ogromny patos psuły kreacyę i silnymi konturami odcinały ją z tła całości. Jedyną sceną ładnie zagraną była ostatnia aktu trzeciego, w której Selisetta znajduje w obawie Aglaweny o jej życie potwierdzenie swego zamiaru.

Reżyseryi nie można wybaczyć skreślenia dwóch pięknych scen: pierwszego pożegnania Selisetty z babką i pierwszego pobytu na wieży, kiedy to piękność dnia i słońca powstrzymuje ją od wykonania zamiaru. Nie opuszczono, ale z pewnemi skreśleniami włączono je w sceny następne, wskutek czego oczywiście zaginęły najpiękniejsze części dramatu.

Tłumaczenie J. Żuławskiego bardzo ładne, jednak nie bez skaz...

SILVA RERUM.

(M. L.) STRONNICTWO, CZY SPÓŁKA PRYWATNA? Na zgromadzeniu przedwyborczem w Przemyślu rzekł dr. Adam, kandydat demokratyczno-narodowy, interpelowany przez jednego z wyborców w kwestyi tendencyi antysemickich „Słowa Polskiego“, że pismo to organem stronnictwa nie jest, jeno komunikaty jego zamieszcza; wydaje zaś ów dziennik spółka prywatna. Nie przekazały dzienniki, czy interpelant czuł się zadowolonym z odpowiedzi. Są tacy nawet, którzy żałują, że ów wyborca nie zapytał się raz jeszcze: czy do owej spółki prywatnej nie należy także pan kandydat? Kwestya ta pozostała jednak nie wyjaśniona i tylko głucha wieść niesie, że dr. Adam... jest współwłaścicielem „Słowa Polskiego“.

Lecz nie o dra Adama rzecz idzie. Ważniejszem jest to, co powiedział dr. Adam — jeden zwrot, przez niego wyrzeczony. Ow zwrot o prywatnej spółce. Na karb spółki prywatnej składa polityk wszechpolski to, co było stronnictwa jego kolebką, siłą i rdzeniem, jego wyrazem jedynie doniosłym i jego permanentną kompromitacyą, ów „wielki dziennik narodowy“, w którym artykuły polityczne pisze sam stronnictwa tego dyktator. Jeśli tak się rzecz zdaniem dra Adama przedstawia, że traktować należy „Słowo Polskie“, jako rzecz spółki prywatnej, to my śmiemy dalej nieco się posunąć: że nie stronnictwo jakieś polityczne nosi u nas nazwę demokracyi narodowej, jeno prywatna spółka. Nie stronnictwo polityczne sterowało w latach ostatnich polityką naszą we Wiedniu, jeno prywatna spółka. Nie stronnictwo podtrzymuje dra Głąbińskiego w ministeryum par. 14, jeno prywatna spółka. Nie stronnictwo robi teraz kampanię wyborczą w kraju, jeno prywatna spółka. Nie stronnictwo weźmie też przy wyborach cięgi, jeno prywatna spółka.

Bo gdy stronnictwo demokratyczno-narodowe od pierwszego swego wystąpienia na gruncie galicyjskim gromy miotało na centralizm, na biurokracyę niemiecką, na paragraf 14, narzędzie jej posłuszne: gdy tam stronnictwa tego mąż zaufania, jako prezes delegacyi, a zarazem prezes Koła Polskiego, wskazywał państwu jego przyszłość w parlamentaryźmie i autonomii ludów; to spółka prywatna, wprowadziwszy tegoż samego męża stanu do centralistycznego i w połowie biurokratycznego gabinetu Bienertha, stała się rządu tego najwierniejszą podporą, gloryfikując takie jego kroki, jak deptanie czeskich dążeń narodowych, jak zamach na parlamentaryzm, jak rządy

par. 14-go. Gdy stronnictwo uderzało na ministra Bilińskiego, jako współwinnego w zaprzepaszczeniu dróg wodnych, gdy stanowiskiem jego i gabinetem całym zachwiało, spółka prywatna przehandlowała ustawę o drogach wodnych, za marną cenę wprowadzenia swego męża zaufania do rzadu, organ zaś — nie stronnictwa, Boże uchowaj! — jeno spółki prywatnej prorokować zaczął okropne skutki budowy kanału Odra — Wisła. Czechizacya z germanizacyą nim przypłynie! Gdy stronnictwo lat temu cztery obowiązek na siebie wzięło obrony interesów konsumentów, walki z drożyzną, spółka prywatna powaliła wniosek przeciwdrożyźniany posła Moraczewskiego, bo przez socyalistę postawiony, szef zaś spółki, pan Grabski w „Ojczyźnie" łotrami zamianował tych, którzy twierdzą, że wszechpolacy przyłożyli się do importu taniego mięsa z zagranicy. Gdy stronnictwo głosiło politykę rąk czystych, spółka kompromitowała się brudną aferą Wetzlera i obroną plugastwa Paduchów, Fiedlerów i Wiącków.

Gdy stronnictwo zakazywało swym członkom przyjmowania orderów, łowili je członkowie spółki. Gdy stronnictwo mieniło się obywatelskiem i demokratycznem, główny w spółce prywatnej udziałowiec zdawał na poczcie lwowskiej z odznaczeniem egzamin na brutalnego biurokratę. Gdy stronnictwo złote góry kolejarzom obiecywało i poparcie ich dążeń ekonomicznych, minister-członek spółki oświadczał się przeciw stabilizacyi płac kolejarskich, jako faworyzowaniu próżniactwa. Gdy stronnictwo wystawiało się za obrońcę interesów szerokich sfer społeczeństwa, spółka prywatna usiłowała wyodrębnić Galicyę od wszelkich urządzeń społecznych, służących ku ochronie pracy...

Ludzie zaś jedni i ci sami byli w stronnictwie i w spółce.

Ale stronnictwo polityczne na to posiada zasady i hasła, by dobijać się ich realizacyi; wpływ i znaczenie nie są dlań celem samym w sobie, jeno środkiem do wywalczenia zwycięstwa tym zasadom i hasłom Jeśli jednak członkowie stronnictwa wywalczony wpływ i znaczenie traktują, jako dobro spółki prywatnej, odrzucając zasady i hasła, to stronnictwo wogóle stronnictwem być przestaje, a staje się — czem?...

Jak to jest w operetce Lehara?...

Spółka.. kombandyto-akcyjna.

ETYKA „SŁOWA POLSKIEGO" święci coraz to nowe tryumfy. W poniedziałek d. 22. bm. na zgromadzeniu wyborców okręgu V. kandydujący w tym okręgu dr. Aleksander Lisiewicz, interpelowany przez jednego z wyborców, oświadczył, że jest zwolennikiem bezwzględnej solidarności Koła Polskiego; gdyby zaś polityka Koła szła w kierunku sprzecznym z jego przekonaniami i zobowiązaniami względem wyborców, mandat swój odda wyborcom do dyspozycyi. Zgodnie z tem streścił „Wiek Nowy" oświadczenie kandydackie dra Lisiewicza...

Nazajutrz, 23. bm., odbywa się w tymże okręgu zgromadzenie zwolenników p. Tomaszewskiego, na którem jeden z działaczy wszechpolskich, cytując „Wiek Nowy" oskarża dra Lisiewicza... o zamiar warunkowego tylko wstąpienia do Koła Polskiego, w razie zaś konfliktu, wystąpienia z odwołaniem się do wyborców... Słowem z białego zrobiono czarne, intencya przeciwnika politycznego świadomie przedstawiona w sposób z rzeczywistością całkowicie sprzeczny. „Spółka prywatna", o której dr. Adam mówił w Przemyślu, zakrawa na spółkę oszczerców.

KWESTYA LITEWSKA. Zakusy nacyonalistów rosyjskich, zmierzające do spaczenia normalnego rozwoju kwestyi litewskiej przez zaostrzenie waśni narodowościowej między Polakami a Litwinami trafiały dotychczas wśród młodego społeczeństwa litewskiego na grunt dość podatny. Obecnie jednak niektóre fakty wskazują, że przewódcy społeczeństwa litewskiego zrozumieli zbędność pomocy rosyjskich „przyjaciół" przy regulowaniu stosunków między dwoma narodowościami i poczynają wszelkie zakusy waśnienia dwu narodowości przez nacyonalistów rosyjskich należycie oceniać. Niedawno w Dumie zastrzegał się poseł litewski Bułat przeciw pomocy „osób trzecich" w załatwianiu kwestyi litewskiej. Obecnie, przy sposobności bytności deputacyi litewskiej u metropolity Kluczyńskiego z żądaniami pewnej autonomii dla katolików Litwinów, „Now. Wremia" w artykułach omawiających żądanie Litwinów w dziedzinie kościelnej starała się znowu poważnić Polaków z Litwinami na tle spraw religijnych.

W odpowiedzi na artykuły „Now. Wremia" umieścili członkowie owej deputacyi list w tygodniku litewskim „Viltis", w którym potępili intencyę artykułów w „Now. Wremia" i oświadczyli, że władza duchowna odnosi się do żądań narodowców litewskich przychylnie. Przy omawianiu kwestyi litewskiej w obecnem stadyum wskazać również należy na artykuł jednego z przewódców litewskich, ogłoszony w kalendarzu sejneńskim.

Zdaniem ks. J. Stagajtisa przyczyna zaostrzenia stosunków między oboma narodami nie jest ani społeczna ani polityczna, lecz wynika z braku należytego stosunku między dążeniami a istotnym stanem kultury litewskiej.

MORDERSTWO SĄDOWE. Sprawa bezdańska zakończona Świrski skazany na śmierć, Kozakiewiczówna i Zakrzewski na 20 lat katorgi; i ci ostatni podobno za „niedoniesienie" o gotującym się zamachu. Generał-gubernator wileński zatwierdził wyrok z zamianą kary śmierci odnośnie do Świrskiego na katorgę dożywotnią. W sprawie Zakrzewskiego przeprowadzony dowód *alibi* nie przekonał sędziów, a interwencya Austryii w obronie obywatela austryackiego okazała się jak zwykle, zgoła nie wystarczającą. Nie uzyskano nawet tego, ażeby sprawę jego sądził większą cokolwiek dający gwarancyę niezawisłości sąd zwykły. Oczekiwać należy, że posłowie nasi w nowym parlamencie zainterpelują ministrów, jak się to stało, że dopuszczono do morderstwa sądowego na osobie obywatela tego państwa?

PRZECIW NADUŻYCIOM WYBORCZYM W GALICYI interweniowali u ministra spraw wewnętrznych hr. Wickenburga i szefa sekcyi bar. Friesa b posłowie Daszyński dr. Adler, żądając, aby *1-mo* kartki wyborcze doręczone były wyborcom bez wypełniania ich z góry nazwiskiem kandydata rządowego; *2-do* aby dopuszczono mężów zaufania opozycyi; *3-tio* aby nie roszerzano nieprawnie pojęcia rejonu dokoła lokalu wyborczego na miejscowości całe celem utrudnienia agitacyi; *4-to* (i tu rzecz najważniejsza) aby zniesiono t. zw. „godzinę duchów", przerwę południową, w ciągu której pod nieobecność wyborców i komisyi same urny wyborcze nową wypełniają się treścią. Minister przyjął deputacyę przychylnie i obiecał wpływać na prawny przebieg wyborów.

ROSYA PRZECIW TURCYI. Poseł rosyjski w Konstantynopolu złożył u Porty oświadczenie, w ostrym tonie protestujące przeciw koncentracyi wojsk tureckich nad granicą czarnogórską, wywołanej przez akcyę przeciw powstaniu albańskiemu, dla którego bazą operacyjną było Czarnogórze. Naodwrót wystawia nota rosyjska zbrojącym się Czarnogórcom patent na miłośników pokoju i domaga się od rządu tureckiego, aby zapewnił Czarnogórę o swych zamiarach pokojowych. „Rząd rosyjski, któremu dobro pokoju leży na sercu" również do utrzymania pokoju się przyłoży..." Nota ta, kryjąca pod płaszczykiem obłudnej frazeologii „pokojowej" wrogie zamiary, rzuca światło zarazem i na to, kto „miecz podał w dłonie" Albańczykom, i na to również, co znaczą obecne zbrojenia rosyjskie i przesuwanie wojsk ku południowi. Chiny są pono pozorem tylko. Przygotowania wojenne caratu godzą w Młodą Turcyę.

Równie gwałtowną notę wystosowała do Porty Bułgarya. Położenie polityczne znowu silnie zaostrzone. Prasa wiedeńska uderza energicznie na Rosyę.

„Życie" wychodzi w każdą sobotę po południu.

Prenumerata wynosi:

	rocznie	półr.	kwart
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier	20 kor.	10 kor.	5 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego nru **40 hal.**

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy lub jego miejsce **na 2 i 3 str. okładki 30 hal., na 4 zewnętrznej 40 hal** Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada. Adres Redakcyi i Administracyi: Dąbrowskiego 2. Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 1 przed południem.

Sekretarz redakcyi przyjmuje w poniedziałki, środy i soboty między g. 3—4.

Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński.

Redaktor odpowiedzialny dr. Maryan Kukiel.